

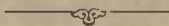








# S Z A L O N A.





Egz. archiwalny IBL

# SZALONA

POWIEŚĆ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

---

INSTITUT  
BADAŃ IERZYŃSKICH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-830 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

Il fare un libro è meno che niente.  
Se il libro fatto non rifà la gente.

*Giusti.*

Tom II.

---

WARSZAWA.  
Nakładem Księgarni  
Teodora Paprockiego i Sp.  
8. Chmielna 8.

1882.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Сентября 1881 г.

---

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 23.

1756  
<http://rcin.org.pl>



Chorążyc przybył na Święta Wielkanocne do Zamiłowa, gdzie nań jak zawsze oczekiwano i wyglą-  
dano przyjazdu z niecierpliwością.

W ciągu tego roku stary ojciec jego, jak to pod-  
żyłym ludziom, co się długo dobrze i krzepko trzyma-  
ją, trafia często, nagle był na zdrowiu podupadł. Przy-  
czyna choroby była mało znacząca, jakieś przeziębie-  
nie; choroba sama nie miała charakteru groźnego,  
a skutki jój okazały się daleko smutniejsze niż prze-  
widywano. Przeleżawszy długo w łóżku, pan Eljasz  
wstał z niego o kiju, nogi mu brzękły, osłabiony był  
znacznie. Biedna Chorążyna zalewała się łzami, on  
zaś sam jak nigdy wesołego udawał, żartował i usiło-  
wał dla uspokojenia żony ukryć cierpienie.

Czuł jednak dobrze, że się koniec zbliża, i sta-  
rym obyczajem, nie trwożąc nikogo, ze spokojem umy-  
słu i przytomnością wielką rozporządzał zawczasu  
wszystko tak, aby, uchowaj Boże czego, Jójmości  
oszczędzić kłopotu, zostawić w porządku interesa,  
obmyśleć nawet pogrzeb własny, oszczędzając biednej  
Elżusi wszelkiego zachodu.

Z tą delikatnością jaką tylko wielka daje miłość i moc charakteru, Chorąży czynił przygotowania te tak, ażeby się ich nawet Elżusia nie domyślała.

Stary Pius i ks. Zatoka jedni byli wtajemniczeni i do pobożnego kłamstwa dopomagali.

Książd napróżno usiłował dowieść, że nic tak pilnego nie było.

— Pan Chorąży, bo się trwożysz napróżno, mówił doń sam na sam, nogi odejdą, siły wrócą, będziesz zdrów jak ryba, a to wszystko tylko próżna troska.

— A dajże bo mi Jegomość pokój, odpowiadał z pół uśmiechem Chorąży. Da Pan Bóg zdrowie, niech będzie imię Jego błogosławione, każe się stawić przed swój trybunał, stań się wola Jego. Ja się bynajmniej nie trwożę, a no potrzeba, na wszelki wypadek, zostawić rzeczy w porządku... Biedna Elżusia i tak będzie miała przez wierzch głowy do roboty, trzeba jój oszczędzić troski. Cóż to szkodzi, że się ład zrobi?...

Potrzeba było niezmiernych wysiłków umysłu, aby powoływanie urzędnika do pisania testamentu czémś upozorować i Jejmości się nie dać domyśleć o co w istocie chodziło.

Woził papiéry ks. Zatoka, oddawał je w sekrecie stary Pius, przyjmowano sądowe figury niby dla jakiejś sprawy o granicę.

Chorąży tak wszystko urządzał bacznie, iż o najmniejszym szczególe nie zapominał.

— Jak mi się zemrze, mówił, wy tu wszyscy głowy potracicie. Pójdzie wszystko na hałaj na bałaj, urwij, podaj, skorzystają z tego hultaje, szkody narobią!

Więc i trumna w śpichrzu była do miary zrobiona, sucha, i światło w skrzynce zawczasu kupione, do którego, aby się nie dobrały szczury, Chorąży okucie kazał dać mocne i postawić w miejscu bezpiecznym.

Ks. Zatoka miał informacją co do pogrzebu, który skromnie chciał odbyć kazać Chorąży, bez zbytku. Pius wiedział gdzie i jak, z jakim przyrzędem zastawić chleb żałobny.

Rozumie się, że w testamencie nikt zapomniany nie był; nawet Madzia i Zonia. O téj, że mało było wiadomości, bo rozpowiadania o jej losach nawet przed siostrą pan Ewaryst unikał, Chorąży jej czyniąc zapis dodał warunek, aby sumy kapitałnej nie miała prawa podnosić, aż za mąż wyszedłszy.

Gdy wszystkie te formalności pocichu dopełnione zostały, stary pan znacznie się uspokoił i jakby dni ostatek sobie i swoim chciał rozweselić, okazywał ciągle myśl dobrą, a żarty się go trzymały, iż jejność się wydziwić temu nie mogła.

Ze szczególną czułością powitał Chorąży syna, bo miał ciągle jakieś złe przeczucia, że go już nie zobaczy, a chciał z nim, jako z mężczyzną, pomówić sam na sam o przyszłości, o różnych rzeczach, których pisać i opisywać nie wypadało.

Z równą niecierpliwością czekała na syna matka, bo wierzyła w to, że jego przybycie ojca orzeźwi; a Madzia wyglądała jak brata, spodziewając się, iż z niego przecie coś więcej dobędzie o téj siostrze, o której tak wiedziała mało, że się najgorszych domyślała rzeczy.

Przybywającego Ewarysta znalazła rodzina zmężniałym, ale matka utrzymywała, że wychudł

i zmizerniał, że twarz miał jakąś smutną, i po staropolsku chciała tym naukom koniec położyć, a syna wziąć na wieś, folwark mu jeden wypuścić, bodaj już ożenić.

Chorąży na to głową kiwał, nie mogąc powiedzieć co myślał, a w duchu mówił. Po co jeden folwark wypuszczać, kiedy rychło wszystko mu spadnie na głowę. Miał to starych, pobożnych ludzi jasnowidzenie końca swojego, które dane jest tylko wybranym..

W czasie Świąt, gości ciągle było dosyć, zajęcia wiele, a do poufnych cichych rozmów mało zręczności.

Od wielkiej nocy do przewodów, dnia prawie nie było, żeby ktoś nie przyjechał, nie nocował, a czasem i kilku gości miał Zamiłów, którym szczególnie Chorążyna była rada, bo jej starego zabawiali.

Madzia napróżno zabiegała około kuzynka, chcąc go wybadać o siostrze, zbywał ją ni tém. ni owém i widocznie unikając dłuższej o tém rozmowy. Naostatek jednego wieczora dziewczę go tak przydybało i naparło, że wykręcić się sianem nie mógł. Prędzej lub później lękał się, aby na nieprzygotowaną nie spadła jaka wiadomość o Zoni jak piorun.

Nalegała Madzia wiedziona i przywiązaniem do jedynej swój i pewną ciekawością prawie gorączkową tego co przed nią aż ukrywać musiano.

— Wiesz, moja Madziu, rzekł Ewaryst, gdy mu się znów z płaczem prawie naprzykrzać zaczęła, wiesz i rozumiesz, że gdybym miał co dobrego do powiedzenia ci, dawnobym przyniósł.

— Ale cóż tak złego być może, o Boże mój! wołała dziewczę, niechże ja choć wiem, abym się najgorszego nie domyślała...

— Nie możesz się domyśleć nic tak złego, dodał Ewaryst, coby nieszczęśliwą prawdę przeszło.

Madzia płakać zaczęła, ale z za łez upominała się raz o całą, prawdziwą historią siostry.

Opowiedzieć jej nawet tak wprost nie mógł Ewaryst, aby nagie fakty gorsze się nie wydały jeszcze niż były w istocie, spełnione pod wpływem fałszywych pojęć i gorącego temperamentu. Musiał więc choć w ogólnych rysach opowiedzieć wiejskiemu dziewczęciu, wychowanemu pobożnie, nawykłemu do poszanowania prawd starych, jakimi nowinkami karmiła się młodzież i jak miała przewrócone głowy.

Madzia ciągle wykrzykując. Ale to nie może być! słuchała z niedowierzaniem... Trzeba było nareszcie przystąpić do rzeczy. Z bólem serca, dużo osłaniając, odmalował Ewaryst najprzód dom Ozereńków, w którym Zonia się wychowała, potem Heljodorę Paramińską, u której mieszkała czas dosyć długi, towarzystwo jakie się tam zbierało, wpływ propagandy Jewłaszewskiego, stosunki z p. Zorjanem, nakoniec przyjaźń z Teofilem Zagajło i owo wystrzelenie do niego...

Podziwienie Madzi stało się w końcu niemem osłupieniem, nie rozumiała już nic, nic nadto, że siostrę ratować była powinna.

Ewaryst nie chciał jej wyjawić wszystkiego, nie powiedział, że Zonia uratowaną być nie mogła, bo po wystrzale do Teofila, przeniósłszy się do niego, żyła z nim otwarcie, jak to się tam zwało, na wiarę.

O ślubie nie było mowy, choć Zagajło obiecywał się żenić; Zonia wyzywając cały świat jawnie się podpisywała ze swoją miłością i nie kryła stosunków.

Tłómaczyła swe dziwne postępowanie po wystrzale tém, że swobodnie sercem i ręką swą sama rozporządzać chciała... Litość nad rannym zwyciężyła ją.

Rozmowa cicha skończyła się łzami. Jak mógł pocieszać i uspokajać Madzię Chorążyc, na niewiele się jednak zdały jego dobre słowa.

Nazajutrz z czerwonemi oczyma biedne dziewczę oświadczyło wprost Ewarystowi, iż ma mocną i niezachwianą wolę jechać do siostry i, powtórzyła znowu, ratować ją.

Chorążyc zmuszonym był wyznać wreszcie, że ratunek przychodził za późno, a i wprzódoby byłby wysiłkiem próżnym. Zagajło po wyzdrowieniu, za zgodą z Zonią wyjechał był na Żmudź czy do Litwy do krewnych, jakoby dla przygotowania ich do swego ożenienia. Zonia została sama jedna i czekała jego powrotu.

— Smutnyby to był widok dla ciebie, téj biednej Zoni teraz, opuszczonej na wpół, chorój... czekającej na tego, który się jój mężem być obiecał...

— Przecież gdy kto z rodziny na zaraźliwą chorobę leży, odpowiedziała Madzia, gdy za występki pokutuje w więzieniu, obowiązkiem jest nie opuszczać go, pomagać... Im biedniejsza Zonia, tém ja tam potrzebniejsza jestem.

— Ale jakże możesz się ztąd oddalić nie wydając tajemnicy, która rodziców może zmartwić... odezwał się Ewaryst.

— Obowiązek i obowiązek! powtarzało dziewczę uparte. Przed panią Chorążyną padnę do nóg, powiem trochę, nie wszystko. Ona mnie zrozumie i pozwoli

jechać, pan Chorąży téż się nie sprzeciwi. Co będzie to będzie, ja tam muszę być...

Ewaryst napróžno starał się ją od tego zamiaru odwieść; Madzia, zwykle potulne i posłuszne dziecko, była do niepoznania upartą.

— Dwie nas jest na świecie, mówiła, sieroty jesteśmy, Pan Bóg nam tylko tyle dał, że siebie mamy... Al czyż ja mogę ją opuścić.

Próżne były namowy Ewarysta, nazajutrz Chorążyna jeżeli nie o wszystkiém wiedziała, to przynajmniej o tém, że Zonia była nieszczęśliwą i że jój siostra mogła być potrzebną. Powołała zaraz syna, aby jój wytłómaczył jak tam rzeczy stały. Ewaryst znacznie łagodząc prawdę, musiał jój nieco wyjawić.

Doszła sprawa do starego pana, a ten wziął syna na konfessatę w cztery oczy, domyślając się nie nadaremnie, iż tam coś więcej być musiało niż przed kobietami wyznał.. Ukrywać przed Chorążym syn nie mógł, a p. Eljasz tak egzaminował ściśle, iż bez kłamstwa się wywinąć nie było podobna. Powiedział więc prawdę jak była, zastrzegając, aby kobietom jój nie powtarzać.

Łzy pocięły z oczów staremu, milczał długo.

— Po cóż tam Madzia ma jechać? odezwał się, tamtę już jeden pan Bóg chyba salwować może, a ta się naje strapienia i, co gorzej, pobrucze się poczciwe dziewczę, chodząc około téj nieszczęśliwej zasmolonej.

Koniec końców zrozumieli wszyscy, iż Madzi z jój ofiarnością i miłością dla siostry ani się bardzo sprzeciwiać, ni jój było można strzymywać.

— Dziej się wola Boża! dodał Chorąży, obowiązek niezaprzeczony, niech jedzie! Tylko jój tak puścić samój ani myśleć...

Narada z Chorążyną nad osobą, którąby Madzi dodać potrzeba, trwała pokryjomu dni kilka. P. Eljasz téż i obrachowywał zaraz jak w podróż tę wyposażyć wychowanękę, aby się nie troszczyła o grosz do zbytku.

Parę tysięcy złotych po rodzicach pono miała Raszkówna u Chorążego na prowizyi, i o te prosiła, stary głową kiwał, wása kręcił i ze swojej szkatułki tysiąc złotych dokładał, na wszelki wypadek, pokwitowania żadnego nie żądając.

— Niech to tam będzie, na chwałę Bożą, co ona ma się z sierocego ekspensować! rzekł.

Jójmość w obawie, aby jój ukochanój nie zabrakło i dla siostry, ze swoich dochodów ogrodowych i nabiałowych sumkę jakąś przeznaczyła. Słowem, wyprawiono ją z domu jak dziecię rodzone. Towarzystką podróży miała być stara wdowa po ekonomie, siedząca na łaskawym chlebie w drugim folwarku, pani Trawcewiczowa, kobiéta bardzo jeszcze żwawa, bywała w świecie, wygadana, a do domu Chorążtwa przywiązana. Trawcewiczowój powierzyć było można Madzię, bo ona doświadczeń w życiu miała pono aż do zbytku, nim w końcu do portu małżeńskiego przy płynęła i nieboszczykowi Trawcewiczowi rękę oddała. Z domu opowiadała się Makowską, a familią tę uważała sama za senatorską, primo voto potém była za porucznikiem jakimś niemieckiego nazwiska, secundo — za małym dzierżawcą Rabczycem, który ją w nędzy zostawił; aż zjawił się ów Trawcewicz, pocziwy



człek, za którego z biedy poszła, a była z nim szczęśliwą. Dzieci nigdy nie miała de domo Makowska, niegdyś pono bardzo piękna, dużo opowiadała czasem o ludziach, co za nią biegali, a nad których intrygami zawsze tryumfowała... Była to i teraz jeszcze matrona poważna, słusznego wzrostu, otyła, trzymająca się bardzo prosto i, mimo siwych włosów w loki pozawijanych, sznurująca usta zmarszczkami otoczone.

Miała tę jedną wadę de domo Makowska, że usta jej nigdy nie próżnowały. Materiału do opowiadań dostarczała bogata skarbnica przeszłości.

Chociaż Ewaryst także wkrótce miał do Kijowa powracać, Madzia niecierpliwa, niespokojna, chciwa spełnienia posłannictwa swego, rwała się tak, iż na niego czekać nie chciała. Trawcewiczowój téż korzystać z téj gradki i przejechać się do Kijowa, którego tak dawno nie widziała, pilno było.

Na kilka już dni wprzód zajmowano się wybo-rem, bo z takiego domu jak Chorążtwo nie wyjeżdżało się bez zapasu, a ulubionój swój wychowaniczy nie mogła puścić stara Jójmość bez wszystkiego, co tylko w drodze było potrzebne. Tym zaś co w domu siedzieć nawykli, mnóstwo rzeczy wydaje się niezbędnymi...

Madzia jechała z pragnieniem wielkiém, ale z trwogą i tęsknotą za tymi, których tu zostawiała. Mało wyjeżdżała w życiu, sama zaś nigdy nie wyruszyła za progi Zamiłowskie, pierwsza podróż, z takim celem, musiała ją niepokoić. Łzawe było i długie pożegnanie z Chorążyną, która nieustannie powtarzała Trawcewiczowój. A pilnujże mi, proszę cię, téj Madzi, bo ona głowę traci łatwo...

Na co poważna de domo Makowska odpowiadała jednostajnie.

— Niech pani Chorążyna będzie spokojna, że już zemną najbezpieczniej w świecie... Dopatrzę jak oka w głowie!

Chorąży, mający ciągle przeczucia niedobre, pobłogosławił ją milczący.

— Spełniasz obowiązek, dodał w końcu, Pan Bóg ci powinien poszczęścić, wracaj nam zdrowo!

Za kilka dni i Ewaryst też miał wyjechać w pomoc ekonomowej, aby mieć opiekę nad Madzią.

Po mszy w domowej kapliczce, którą ks. Zatoka odprawił, ruszyła bryka wyładowana z płaczącem dziewczęciem, a Chorążyna z ganku, Chorąży przez okno krzyżem świętym ją żegnali. Madzia obiecywała pisać i donieść o sobie.

Pusto się zrobiło w Zamiłowie, gdy wesołego dziewczęcia, które tu bardzo mało znaczące zajmowało napozór miejsce, nie stało. Chorążyna zadumana obrachowywała popasy i noclegi. Dziś Madzia nocuje tam, jutro popasać musi, da Bóg, w karczmie tej... itp.

Nie mówiła tego, czém najwięcej się frasowała, to przybyciem i spotkaniem z sobą dwóch rodzonych siostr, tak do siebie niepodobnych. Ewaryst też najbardziej się tém kłopotał, nie mogąc nawet przewidzieć jak się one rozumieć i pogodzić z sobą będą mogły. Pilno mu było jechać, aby na wszelki wypadek przyjść w pomoc niedoświadczonej Madzi.

Dziewczę w istocie nigdy jeszcze w życiu samostnie i o własnej woli nie występowało, lecz miłość daje odwagę i siły wielkie.

Przybywszy do Kijowa zmordowane dziewczę nie tyle drogą, co nieprzerwanemi opowiadaniem awantur Trawcewiczów de domo Makowskiej, szczególnie z oficerem od huzarów, którego zwyciężyła.

Madzia stanąwszy u celu, poczuła trudność zadania i położenia swojego. Noc spędziwszy w gospodzie, do dnia poszła do kościoła, a ztamtąd wprost kazała się zawieść do siostry. Trawcewiczowa koniecznie jęj chciała towarzyszyć, lecz Madzia stanowczo jęj zapowiedziała, że sama jechać musi. Obraziło to nieco towarzyszkę, która się składała rozkazami pani Chorążynęj, lecz uścisk i serdeczne prosby Madzi ułagodziły ją.

Z bijącym sercem weszła na wschody wskazanego jęj domu. Niepoczesna sługa, przypatrując się jęj podejrzliwie, wprowadziła na tyłach, do lichego, przyciemnionego mieszkania. Przedpokoik stał w nieładzie, nieumieciony i zarzucony gratami, druga izdebka mała, niby bawialna, okryta pyłem, zdawała się opuszczoną. Przez nią przechodzić było trzeba do sypialni, gdzie, jak mówiła sługa, pani leżała chora. Wszystko, co tu spotykała nawykła do porządku i dostatku wiejskiego Madzia, świadczyło o ubóstwie i zaniedbaniu.

W izdebce o jednem oknie, na łóżku lichu zasłanem, siedziała blada Zonia, w ręku trzymając czepek dziecinny z niebieskimi wstążeczkami.

Przy niej stała pusta kolebka. W twarzy biednej choręj malowała się rozpacz jakby stężała, zamknięta w sobie, obojętna na wszystko.

Widząc wchodzącą nieznaną jakąś, która z trwogą i wzruszeniem przestępowała próg, Zonia

wlepiała w nią oczy, nie tając, że jój natręctwo to było nieznośném. Zdawała się mówić.

— Po co ty tutaj?

Nie mogła ani poznać, ni się domyślcć siostry, a ta, tak była pomieszana, tak zboląła, że już wszedłszy, stanąć musiała, aby odetchnąć i zebrać siły.

Zonia, która z rąk nie wypuściła trzymanego czepeczka, patrzyła nic nie mówiąc, gotowa wybuchnąć za pierwszém słowem obcej przybyłej. Nie domyślała się w niej nawet siostry, ale jakiejś niepotrzebnie litościwej istoty, której pociechy nie potrzebowała.

Madzia przyspieszyła wreszcie kroku, pominąwszy kołyskę i ręce rozpostarłszy zawołała.

— Zonia moja, to ja — siostra twoja Madzia! to ja...

I padła na kolana u łóżka. Zadrgnęła Zonia i pobladła bardziej jeszcze, zdawało się, że ten wykrzyk serdeczny Madzi i jój serce otworzy. Co się w niej działo, Bóg wie jeden, wyciągnęła rękę ku Zoni.

— A! to ty! Madzia!

Przybyła rzuciła się jój na szyję, chwilę milczyły obie.

— Umyslnie przybyłam do ciebie, poczęła Madzia, siadając przy łóżku Zoni, która zadumana milczała ponuro. Wiedziałam, że możesz potrzebować pociechy, pomocy siostrzynego serca.

— Pociechy! pociechy! zamruczała obracając w rękę czepeczek dziecięcy Zonia. Na świecie w nikim i w niczém pociechy nie ma. Życie to straszna męczarnia... nic więcej.

— Zoniu kochana, to próba, próba człowieka —  
Pan Bóg...

Nie mogła dokończyć Madzia, bo na ustach siostry spostrzegła uśmiech tak szyderski, tak goryczy pełny i zwątpienia, że się ulękła bluźnierstwa.

— Rozumiem to, odezwała się Zonia powoli, ty, pobożne dziecię, przyjechałaś mnie więcej nawracać niż pocieszać. Chcesz zarazem moję duszę zbawić i swoje.

Przykro mi ci jednak powiedzieć z góry, że zemną nie zrobisz nic. Ja już raz jasno przejrzałam i nazad nie pójdę w ciemności. Stracone twe zachody!

— Moja Zoniu kochana, szybko przerwała Madzia, gdybym mogła dać ci moję wiarę i moje szczęście i spokój duszy—a! Bóg widzi, żebym ci je oddała, ale moim najpierwszym obowiązkiem było przyjść ci służyć, pomódz, ulżyć...

— W czem? jak! trochę szydersko odezwała się Zonia, widzisz, mam jaki taki dach nad głową i z głodu nie mrę—a reszta!!

— Chora jesteś? spytała Madzia rumieniać się.

— Widzisz—podnosząc do góry czepeczek dziecka i wskazując na kołyskę Zonia, przebyłam chorobę ciężką, sama—bo jego nie było, aby na świat wydać dziecinę, której krzyk był pierwszym i ostatnim. Słyszę go dotąd w uszach i w sercu, słyszę to powitanie życia rozpaczne... a potem... trup... trup!!

Miałam przeczucie, że ono żyć nie będzie, a walczyłam z niem, myślałam, że je wydrę téj śmierci.

Dwie łzy ciche popłynęły jój po twarzy.

Madzia słuchała nie śmiejąc pocieszać.

— O! dziecię szczęśliwe, że umarło, dodała Zonia, wrócić do nicości, w milczenie i noc śmierci, to szczęście jeszcze w porównaniu do naszych losów, walka bez celu, zawody bez końca, zgnilizna do koła, a jakby na urągowisko temu śmiećskowi obrzydliwości w człowieku iskra jakaś co się pali jasno, co świeci, pokazuje, tłómaczy i ciągnie ku mrzonkom, których nigdy na świecie nie było i nie będzie. Los anioła zaklętego w obrzydliwe bydlę, zmuszonego zwierzęciem być, aniołem się czując... i...

Ze spuszczeniem oczyma słuchała Madzia tych wykrzyków boleści, które szmerem tylko obijały się o jej uszy. Strwożona więcej dorozumiewała się w nich bezbożności i bluźnierstwa niż je rozumiała. Cudowny instynkt uczył ją w tej chwili, że nawracanie słowem byłoby tu próżnym, że jeden miłości czyn mógł świadczyć za wiarą co go natchnęła.

Walczyć na słowa z Zonią, która niemi szermować była nawykła, nie myślała biedna wieśniaczka, zmilczała pokornie.

Zoni gdy się raz usta rozwiązały, nie mogła się już powstrzymać od wynurzenia żalu swojego.

— Życie? ty go nazywasz próbą? Szczęśliwy kto ją przetrzymał zwycięzko, mówiła z szyderstwem. W istocie to próba, szczególniej dla rozumu, który, nic pochwycić nie mogąc, do szalu poprowadzić może.

Nierychło i niełatwo, cierpliwa Madzia usiłując powoli myśl jej wyrwać z tego koła, w którym błędziła, potrafiła ją sprowadzić do rzeczy potocznych, do których w swém życiu powszedniem była nawykłą.

— Teofil, który ma być mężem moim, odezwała się śmiało Zonia do spuszczałającej oczy siostry, poje-

chał do familii. Będziemy ubodzy, zdaje mi się, że rodzice jego, na Żmudzi czy Litwie mieszkający, są prości chłopci. Ja tam nie wiem, mnie to wszystko jedno. Dobrze, że dziecina umarła, bo nawet we dwojgu nam wyżyć będzie ciężko.

Ja com miała po Ozereńkowej, to straciłam prawie wszystko! O! nauka życia dużo kosztuje! dodała szydersko. Byłam we wszystkiém nadto ufającą i uczynną, korzystał kto chciał z mojego dzieciństwa.

— Nie kłopotcz się tém, odparła nieśmiało Madzia, ja co mam tom ci przywiozła.

Zonia patrząc na nią zamilkła trochę.

— Ja nic nie przyjmę od ciebie, rzekła, nie godzi mi się obdzierać tak dobrodusznój i łatwowiernój. Sierotą jesteś i jak ja kiedyś zapotrzebujesz żyć bez pomocy niczyjój.

— Al ja mam Chorążynę, która mnie nie opuści, oni są dla mnie dobrzy i kochający jak rodzice...

— Tak, mają w tobie sługę bezpłatną i niewolnicę, odparła Zonia. Zamilczały obiedwie, lzy stały w oczach Madzi. Widziała, że sprzeciwiać się siostrze nie można, szanowała w niej bolesć wielką.

Po chwilce, pomyślawszy Madzia, zaczęła zrzucać z siebie to, co jój do roboty zawadzać mogło. Wstała z krzesła mówiąc skromnie.

— Pozwolisz, póki tu jestem, że się trochę zajmę twojém gospodarstwem. Jestem do tego przywykła, mnie to z nałogu już potrzebne, a widzę, że sługa twoja, zapewne zawiele mając do czynienia, trochę się zaniedbała.

Zonia ruszyła ramionami.

— Wszystko to jedno, rzekła gorzko, czy barłóg, na którym nędzarz leży, trochę czystiej czy brudniej wygląda.

Madzia nie słuchając już krzątać się zaczęła. Sługa, która z założonemi rękami i ciekawie się z drugiego pokoju przypatrywała przybyłej i przysłuchiwała rozmowie, znikła. Madzia musiała jój pójść szukać, aby się z nią naradzić. Oczyma za nią pobiegła leżąca na łóżku Zonia i, jakby nie rozumiejąc tego cichego stworzenia, patrzyła jak na jakieś dziwowsko.

W domu okazał się nieład wszelkie przechodzący pojęcie. Pieniędzy nie było wcale, ostatnie oddała Zonia na kamień grobowy i pogrzeb dziecięcia. Przekupnie, u których brano dłużej bez zapłaty, dawać nie chcieli. Pierwszą więc czynnością być musiało opatrzenie sługi pieniędzmi i wyprawienie jój do miasta.

Madzia nakazawszy pośpiech, sama wzięła się zaraz do porządkowania w dziwnie zaniedbaném mieszkaniu. Zonia to na czepeczek, który ciągle trzymała w ręku, to na nią patrzyła, ruszając ramionami.

Wśród tego zatrudnienia Madzia rzucała czasem jakie słówko, mówiła o domu w Zamiłowie, o swych opiekunach, wspomniała o Ewaryście, który miał przybyć wkrótce.

— A! Ewaryst, wtrąciła Zonia trochę się uśmiechając, gdybym była chciała, miałabym z niego opiekuna, bo się tak kochał we mnie jak inni. A! to ich kochanie—dodała, nie lepszy i on od drugich. Myślał, że łatwo mi głowę zawróci...



Madzia, która się wcale nie domyślała tego, zarumieniła się mocno i zaprotestowała.

— Ewaryst! On! zawołała. ale to najszlachetniejszy człowiek w świecie. Gdyby się kochał w tobie, byłby to wyznał przed rodzicami i ożenił się z tobą.

Zonia parsknęła szydersko.

— On! zemną! przerwała. Nie można gorszej z sobą sprzedać pary jak mnie z nim! To świętoszek jak wy tam wszyscy, a ja jestem poganka i dzika!

— Ale, Zoniu! zaprzeczyła siostra.

— A! tak! ja kłamać ani udawać nie umiem. ani się kryć z uczuciem, z myślą jak was od dzieciństwa uczono. wołała Zonia.

Dla tego wybrałam sobie człowieka tak dzikiego jak ja sama.

— Ewaryst kochał cię jak siostrę, wtrąciła Madzia.

— Trochę więcej, z pewną dumą dodała Zonia, sam mi się do tego przyznał. Ze wszystkich malowanych paniczów, co się koło mnie kręcili, on był najznośniejszy, ale tego samego chciał co inni, tylko prosił inaczej. Madzia cała drżąca zaprzeczyła gorąco.

— Ewaryst jest najszlachetniejszym z ludzi! zawołała.

— A ty się chyba w nimkochasz, przerwała gwałtownie Zonia, patrzajże, aby ów najszlachetniejszy nie skorzystał z twojej słabości. O! oni wszyscy są jednakowi.

— A ten, któregoś ty wybrała? odważyła się mruknąć Madzia.

Zamilkła nieco Zonia.

— Ten! ja nie wiem! Szczerzy jest przynajmniej, nie obiecywał mi nic... jam nie nie wymagała, poczęła powoli — jeżeli mnie teraz opuści, abym mu nie była ciężarem, nie będzie to zdradą. Wiedziałam, co mnie czekać może.

Dla biednej Madzi cała ta z siostrą rozmowa była jakby gorącym żelazem piętnowanie, za każdym wyrazem chciała krzyczeć ze zgrozy, chciała zaprzeczać. Zimne szyderstwo Zoni zamykało jej usta.

Można sobie wystawić niepokój Trawcewiczowej, która sama jedna siedząc w gospodzie, nie mając z kim mówić, obawiając się o Madzię, nie wiedziała nawet gdzie jej szukać i w trwodze tej musiała przetrwać do wieczora. Dopilnowawszy obiadu, nakrywszy do niego sama przy łóżku siostry, co jej służyło za pretext do wyniesienia próżnej kołyski, Madzia oznajmiła Zoni, że musi pójść do gospody, opowiedzieć się swój towarzyszcze, a na noc pilnować jej powrócić.

— Ty mi wcale nie jesteś potrzebna, a ja takich długów wdzięczności zaciągać nie chcę, cdezwała się Zonia, u mnie nie ma się gdzie położyć.

— A! ja przywykłam sypiać na ziemi.. i nic mi to nie szkodzi, zawołała Madzia, dopóki tu jestem, chcę być przy tobie. Proszę mnie nie wypędzać.

Zresztą ja jak ty jestem uparta i nie dam się odegnąć łatwo.

To mówiąc uściskała ciągle z podziwienia wyjść nie mogącą Zonę, okryła się chustką i wybiegła, wołając.

— Do zobaczenia!

---

Ewaryst powróciwszy do Kijowa, drugiego dnia już był pod domem, w którym Zonia mieszkała.

Chciał się dowiedzieć o obie siostry, bo niemniej o Madzię jak o starszą był niespokojny. Nie śmiał jednak wchodzić, nie wiedząc jak je zastanie, gdy z ogromnym wyładowanym workiem powracająca z miasta nastęczyła mu się Trawcewiczowa.

Rad jój był niezmiernie Ewaryst, ale ona jemu więcej daleko, potrzebowała ze swych przygód, ze swojego postępowania się wytłómaczyć, wygadać, nastękać.

— A! to was tu sam pan Bóg zesłał nam na ratunek, poczęła odprowadzając go na stronę i ręce zalamując de domo Makowska. Co się tu u nas dzieje! na rany Chrystusowe! Co ta moja nieszczęśliwa panna cierpi z tą biedną siostrą swoją. Ale tu, jak Boga kocham, długo nie wyżyć!

Potoku słów pani Trawcewiczowej ani było utrzymać, słuchał więc milcząco Chorążyc.

— Ta, proszę pana Chorążyc, Zonia to zgorzenie okropne! bo to ani panna, ani zamężna i w nic nie wierzy i ze wszystkiego się śmieje i niech pan

Bóg ma miłosierdzie nad nią, ale co wygaduje, to mnie stariej włosy stają na głowie, a biedna panienka ze wstydu się pali cały Boży dzień, a tamtęj ani zamknąć gęby, ani uprosić, żeby nie bluźniła. Jak na złość!

Nasza panienka, jak panu Chorążycowi powiadam, święta jest, bo to cierpliwość anielska, a z siebie by koszulę gotowa zdjąć, aby tamtęj losu ulżyć. Zastaliśmy ją panie prawie bez chleba kawałka i w długach, przeszło tysiąc złotych już pękło... fiut! poszło... a końca ani widać!

Mnie zaś najgorzej na sercu, proszę Chorążycu, kiedy my powrócimy do domu; ja, przyznaję się panu, nawet bielizny takiego zapasu nie wzięłam, a co tam się z moimi kurczętami dzieje, Bóg jeden wie. Pewnie wszystkie jastrząb wychwytał! Na chwałę jego! Cóż robić.

— Jakże się ma chora? zapytał Ewaryst.

— Zastaliśmy ją w łóżku, opłakiwała jeszcze dziecko, które straciła, a to łaska pańska, że je Bóg wziął — choć, doprawdy nie wiem czy nawet je ochrztili.

Teraz już się podniosła, wstała, chodzi, ale strasznie zmizerowana. Czeka na wiadomość od tego, co to się z nią powinien żenić, choć to, między nami powiedziawszy, widłami pisano. Odjechał ją, porzucił, gdzieś niby na jakąś Żmudź do rodziny się spieszył, a kto go tam znajdzie i przepyta.

Pokiwała głową Ekonomowa.

— Ta zgubiona na wieki. Państwo Chorążtwo choćby ją i chcieli wziąć do Zamiłowa, co z nią tam

robić? Języka nie strzyma, a jak zacznie pleść banialuki, to włosy wstają! włosy wstają!

— Madzia u niej jest? zapytał Ewaryst.

— Ani na chwilę jej nie opuszcza. bo to złote serce téj panienki, dodała Trawcewiczowa. ale co to pomoże? Tylko się nasłucha takich herezyj, że uszy więdną, a tamtéj nie nawróci!!

Mnie najęto stancyjkę tu obok, a Madzia dzień i noc przy niej, a końca temu ani widać. Jużem się kilka razy pytała. odpowiada mi zawsze. Jakże ja ją mogę tak porzucić?

Więc chyba gdyby ten przyjechał co ona na niego czeka, ale gdzie ona kiedy się go doczeka!!

Chciała się jeszcze w dalsze żale i opowiadania zapuścić Ekonomowa. gdy Ewaryst pożegnawszy ją, powlókł się zwolna na górę. Cicho było w mieszkaniu gdy wszedł. Madzia z oczyma spuszczonego siedziała u okna w pierwszym pokoju z pończochą, w drugim za stolikiem zarzuconym papierami i książkami spostrzegł Zonię, która głowę podparłszy na rękach we włosach utopionych. zdawała się czytać coś. czy myśleć nad książką, która przed nią leżała roztwarta.

Zobaczywszy Ewarysta. Madzia z lekkim wykrzykiem pobiegła ku niemu, w nim widziała cały ten swój Zamilów kochany. za którym tu tęskniła. gniazdo owe spokojne, z którego ją burza wygnała.

Zonia, której piękna twarz, blada. teraz jeszcze się boleścią na niej wyrytą wdzięczniejszą wydawała, zwolna podniosła się także. Lekki niedostrzeżony rumieniec przebiegł po jej licu. odepchnęła książkę i ruszyła się ku pierwszemu pokojowi. gdzie już drżąca z radości i niepokoju siostra zasypywała przybyłego

pytaniem. Przywitanie Zoni było zimne i dumne jakies, wskazała na Madzię.

— Bardzo się dobrze stało, żeś pan przybył. odezwała się. to biedne stworzenie przybiegło tu w pomoc siostrze, której nic pomódz nie może i marnuje się tu daremnie. Żal mi tej próżnej dla mnie ofiary, na którą i nie zasłużyłam, bo samabym do niej nie była zdolną.

— Ale cóż za ofiara! nie dając jej mówić przerywała Madzia—nagrodziło mi się to stokrotnie przyjemnością służenia ci.

Ironicznie rozśmiała się Zonia i zwracając do Ewarysta, dodała żywo.

— Rzecz niepojęta! z dziesięć listów pisałam do Teofila, żadnej odpowiedzi. Zaczynam myśleć, że może czuje, iż między nami rachunek za kulę skwitowany i myśli gdzieindziej szczęścia szukać.

Zmarszczyła brwi i dorzuciła z goryczą.

— Wszystko być może!

Ale nie—nie! poprawiła się wnet. jestem niesprawiedliwa! To prosta chłopska, otwarta natura, nie obiecywałby mi powrócić, nie zmuszałam go do niczego...

Dał mi słowo dobrowolnie.

— Listy się mogły zabląkać! wtrącił Ewaryst.

— Nie — odparła Zonia. choć jedenby był doszedł. Wyjechał trochę nie zdrów, ale silny jest i zna siebie, doktor, poczułby niebezpieczeństwo. Ja nie wiem! Zapatrzyła się w podłogę milcząc.

— Wszystko najgorsze zawsze się stać może — szepnęła, złe jest najprawdopodobniejsze w każdym razie, na dobre dzieci tylko rachują. Świat przecie

na to zbudowany, aby był katownią wielką, a całe stworzenie, tak rozumnie obrachowane, aby jedni drugich zabijali, jedli i męczyli. Na tém stoi wszystko! katownia.

— Zoniu! wtrącała jakby prosząc ją Madzia.

— A! ty naiwna istoto! rozśmiała się Zonia, dla ciebie jest to przedpokój do raju, gdzie zabłoconym buty czyszczą i czuprynę muskają, aby się lepiej zaprezentowali!!

Madzia jak przybita nie miała na odpowiedź słowa, spojrzała z za łez na Ewarysta.

Zonia straszniejszą jakąś wydała mu się niż była, z ust jej sama gorycz rozpaczliwa płynęła...

I nie dziw, książka nad którą ją znalazł w myślach zatopioną, była wyznaniem wiary Schopenhauera.

Aby tej goryczy nie dać się rozplýwać szerzej, Chorążyc począł mówić do Madzi o domu, z którego jej przywoził ukłony i różne drobne zapomniane rzeczy. Chorążyna przysyłała notatkę różnych sprawunków, które powracające konie Ewarysta do Zamiłowa wieść miały. Rozmowy o tych wielce prozaicznych przedmiotach Zonia nawet nie słuchała. Nie obchodziło ją nic oprócz jej samej, a siostra tak wylana dla niej nie budziła innego uczucia nad pewien rodzaj politowania swój nicości.

Patrzała na nią z wyżyn mądrości swój, nie widząc anielskiej dobroci serca, któremu umysł nie dorównywał. Tak samo prawie Madzia podziwiała straszliwy rozum siostry, bolejąc nad brakiem uczucia, nad wyschnięciem serca. Litość z obu stron była jedynym węzłem, który je łączył..



Za wychodzącym Ewarystem Madzia ze łzami na oczach i wymuszonym na ustach uśmiechem wymknęła się z pokoju do sieni. Czuła, że przy Zoni otwarcie się z nim rozmówić nie mogła...

— Kiedyż myślisz powracać? zapytał Chorążyc.

— Sama nie wiem, Zonia się co chwila spodziewa wiadomości, albo powrotu...

(Tu skromnej dziewczynce tak zabrakło wyrazu, iż innego nie znalazła nad — męża).

— W Zamiłowie wszyscy na was tylko czekają, mówił Ewaryst.

— A ja! ja tak tęsknię do Zamiłowa! przerwało dziewczę, oczy spuszczając jakby się lękało, aby z nich Ewaryst więcej niż było potrzeba nie czytał...

Na zapytanie o Zonię załamała ręce Madzia.

— Niewymownie mi jęj żal, ale ja jestem za słaba, za... głupia, dodała pokornie, abym się jęj na coś przydać mogła. Próbowałam, a! próbowałam wszystkiego! Do kościoła nie chce iść ze mną, o religii z nią mówić nie można... a! jaka ona nieszczęśliwa!

Dziewczę się rozplakało...

Na niczem więc skończyły się te ciche szepty w sieni i Madzia wróciła do siostry, a na pana Ewarysta u dołu oczekiwała niezblagana Trawcewiczowa w nadziei, że może się od niego coś dowiedzieć o powrocie do domu...

Kurczęta pozostawione bez opieki lży jęj wyciskały...

Piérwszych dni kilka Ewaryst prawie nie widywał Raszkówien, nie spotkał Trawcewiczowej, a odprawę koni swych do domu urządził tak, aby ekono-



mowa i Madzia mogły przez nie przestać listy i sprawunki.

Uplynał tak tydzień cały, gdy jednego dnia odebrał kartkę od Madzi, proszącą, aby się z nim rozmówić gdzieś mogła, nie chciała, aby przychodził do Zoni, był więc zmuszony Ewaryst, miejsce schadzki wyznaczyć w izdebce ekonomowej, która o tój porze szczęściem na nieszporach była.

Madzia twarzączkę miała jakąś wystraszoną, zbladła i pobytem tym w Kijowie widocznie zmęczoną. Nie skarżyła się wcale, nie mogła jednak podrobioną wesołością okryć tego co cierpiała.

— A! panie Ewarystcie, odezwała się witając go, prawdziwie nie wiem, nie śmiem, a muszę się i poskarżyć przed panem i o radę go prosić. Sama nie umiem z tego wybrnąć.

Zmieszana, skłopotana, to spuszczała oczy, to podnosiła je zapłonioma, i Ewaryst poznał łatwo, iż to co mu powiedzieć miała, wiele ją kosztowało.

— Mów, otwarcie, proszę, odezwał się Chorążyc.

— Ja bo ją tak kocham, taką mam litość nad nią, tak bym chciała wytłómaczyć wszystko jój siroctwem, nieszczęściem, mówiło dziewczę, takby mi było boleśnie ją oskarżać.

— Stałoż się co? przerwał Ewaryst.

— Ale nic! nic! prędko zaczęła Madzia tłómaczyć się, nic się nie stało, tylko mi się to jakoś wydaje dziwnie... Ja nie wiem doprawdy, czy ja tu dłużej wytrwać potrafię, choć z duszy pragnę jój nie opuszczać. Rumieniła się mówiąc ciągle i łzy jój stawały w oczach, choć wypłynąć nie mogły.

— Pewnie, panie Ewaryście, w tém nie ma nic złego, tylko ja jestem taka jakaś ograniczona, trwożliwa, nie znam świata, to się boję wszystkiego...

Nie śmiała mówić o co chodziło, Chorążyc nalegał.

— Ja tam nie wiem, ale mnie by się zdawało, że kobiéta tak sama jedna mieszkająca, a choéby z siostrą, i taka smutna... i w takiém położeniu, nie powinna przyjmować... młodzieży.. Już dawniej kilku kolegów jej męża, czasem się dowiadywało, ale teraz od dni kilku co wieczór się ich tylu schodzi, i taka wrzawa, rozmowy, śmiechy... Radabym uciec, bo jacys tacy ci panowie śniiali, prawie niegrzeczni, coś jest w ich obejściu się tak dziwnego, że ja siedzę wieczór cały jak na mękach, nie rozumiem nawet po większej części co mówią, ale tacy są natrętni.

Madzia rumieniąc się ciągle, zwijała i rozwijała w palcach chusteczkę, jąkała się, na ostatek tchu jej zabrakło.

Chorążyc słuchał prawie gniewny. Niepojętą było rzeczą dla niego, aby w takiém położeniu jak była Zonia, szukać można takiej rozrywki.

Zapytał o czém rozmawiano.

— A! tego ja doprawdy powiedzieć nie potrafię, odparła Madzia, tylko wiem, że dla mnie to niezrozumiałe, dziwne. Rozmowy prowadzą uczone, chociaż w nich są czasem... rzeczy, których ja bez rumieńca, bez strachu nie mogę słuchać.

— Chodźmy do Zoni, rzekł Ewaryst.

— A! nie! nie! powie, pomyśli, zem ją oskarżyła przed wami, załamując ręce dodała Madzia, mnie jej żal! Jej nic wyperswadować niepodobna, chodzi

tylko o to, czy ja, czy ty mi radzisz zostać tu dłużej, bo ja tych wieczorów z tymi panami znieść nie potrafię.

Zamyślił się Chorążyc smutnie.

— Ha, rzekł, zdaje mi się, żeś ty tu już zrobiła co mogłaś tylko, niepodobna, abys się dłużej na takie wystawiała męczeństwo. Nie można bardzo obwiniać Zoni, która przywykła do tego towarzystwa, do tych rozpraw i sporów. Dla niej jest to rozrywką dziś, przy jój smutku prawie konieczną, dla ciebie męką nieznośną.

Wracaj do Zamiłowa.

Madzi lzy popłynęły.

— A ją tak na zgubę zostawić! Samę! samę jednę! Nie, to się nie godzi.

Biedne dziewczę poskarżywszy się, żałowało już teraz, że obwiniło Zonię i z pokorą wrócić było gotowe w atmosferę, która je dusiła.

Ewaryst odszedł z przykrém w duszy uczuciem.

Upłynęło parę tygodni. Od Madzi, którą widywał czasami, coraz mizerniejszój, bledszój, smutniejszój, dowiadywał się, choć nie dopowiadała wszystkiego, że towarzystwo wieczorami bywało coraz liczniejsze. Nie skarżyła się już na nie, lecz z jój twarzy zbiedzonej widać było co cierpiała.

Ewaryst, którego nieszczęśliwa Zonia zawsze ciągnęła ku sobie jakąś sympatyą, choć on sam wyrzucał ją sobie; pomimo, że widzenia jój i żywienia tój namiętności unikał pod rozmaitemi pozorami, czasem przychodził tutaj. Teraz mógł to sobie tłómaczyć Madzią i obowiązkiem czuwania nad nią.

Wieczorami tylko nie pokazywał się prawie nigdy, gdyż w towarzystwie młodzieży jaka się tu zbierała, czuł się nie swoim i sporów wywoływać nie chcąc, zbyt cierpiał słuchając bredni.

Jednego dnia w porze przedobiedniój, zrządzenie jakies dziwne sprowadziło go w chwili, gdy był może najpożądańszym, przynajmniej dla Madzi.

W progu już postrzegł, że coś niezwyčajnego się stało. W drugim pokoju Zonia siedziała jak trup blada, z ustami zakąszonemi, z rękami wyciągniętymi i pościskanemi na stole. Leżał przed nią papier pomięty. Nad nią stała Madzia blada także i przestraszona, a ujrzawszy Ewarysta pobiegła ku niemu.

— Chodź! chodź! na ratunek... List, ten list.

Chorążyc nie mógł zrozumieć o co chodziło...

W tém Zonia wstała jak sprężyną jaką rzucona i, z oczyma iskrzącemi, podeszła do Ewarysta.

— Umarł, rzekła, podając mu papier, umarł...

To mówiąc, padła na krzesło i głowę zakryła rękami. Madzia się zachodziła z płaczem...

Ewaryst rzuciwszy okiem na list napisany najniewprawniejszą ręką jakąś, do którego dołączona była sepultura, dowiedział się z niego, że Teofil Zagajło chory przybywszy do familii, po kilkunastodniowej chorobie, zmarł z tyfoidalnej gorączki.

Zonia płakać nie mogła, oczy jej płonęły żarem jakimś, oddech w piersiach tłumilo łkanie wewnętrzne, łza nie pociekła z oka. Usta miała wykrzywione dzikim, ironicznym uśmiechem...

Mruczała niezrozumiałemi wyrazami bez związku.

Pocieszać ją, chcieć uspokajać w takiej chwili nie było ani można, aniby ona dopuściła.

Pozostawało jedno. otoczenie ją jak najtroskliwszą opieką, a taką miała w Madzi, która teraz bardziej niż kiedy na krok ją nie odstępowała.

Zonia tak była pogrążona w swym smutku, że nikogo widzieć się nie zdawała, siedziała skamieniała, osłupiała, nie słysząc rozmowy, nie odpowiadając na pytania.

Czasem odejmowała dłonie od twarzy, a naówczas widać było suche jej oczy, błyszczące gorączką, spalone usta i zmarszczone czoło...

Ewaryst przesiedział tu godzin kilka, na ostatek naradziwszy się z Madzią, wyszedł po cichu.

Jedno z dwojga, boleść ta miała albo ją zabić, lub spłynąć powoli, jak wszelki ból ludzki, roztapiając się w tym rozkładniku wszystkich człowieczych szczęść i męczarni — w czasie.

Sama gwałtowność pierwszego wrażenia kazała się domyślać, że ono długotrwałem być nie może.

W mieście kogó napotkał Ewaryst, wszyscy mu mówili o śmierci Teofila, o której wiadomość przyszła współcześnie inną drogą do zwierzchności uniwersytetu. Ubolewali młodzi towarzysze nad stratą człowieka wielkich zdolności i charakteru i nad położeniem biednej Zoni.

Jakis niepokój długo nie dał zasnąć Chorążycowi, pragnąłby się był dowiedzieć o Zonię i o jej siostrę, i jak tylko dzień zaczęło, pobiegł najprzód do Trawcewiczowej.

Powiedziano mu, że po nią przed paru godzinami przysłano, i że coś stać się musiało w kamienicy sąsiedniej, około której bieżanina wielka była, lecz

ludzie ciekawi o przyczynie jej nie dowiedzieć się nie mogli.

Pobiegł więc na górę Ewaryst z najgorszymi przecuciami, i w progu spotkał wychodzącego już doktora B... profesora uniwersytetu.

Znał go Ewaryst dawniej,

— Co się tu stało? zapytał.

Profesor odparł dosyć flegmatycznie.

— Otruła się laudanum... szczęściem spostrzeżono wypróbnioną buteleczkę zawczasu i śmierci dało się zapobiedz. Odchoruje tylko...

W pokoju przy łóżku Zoni zastał Madzię we łzach całą i drżącą rodzajem febry, którą ją przestrasz nabawił.

Zonia leżała w łóżku sparta na łokciu i gniewna.

— A! tak! nie daliście mi umrzeć! prawdziwe dobrodziejstwo! wołała szyderczo. Potrzeba, żebym żyła! Życ będę, lecz może nie na to, byście się tem cieszyli.

Głupie życie!

— Zoniu! przerywała co chwilę siostra...

— Milczże. mówiła chora, ocaliłaś mnie, to się tak u was nazywa! Według twojego świątobliwego pojęcia to jest dać mi czas do pokuty! Zobaczysz jaką będę pokutnicą...

Łkanie konwulsyjne głos jej przerywało. Madzia obejmowała ją rękami—odpychała ją z gniewem, bezlitośnie...

Widok tej sceny poruszył Ewarysta niewymownie. siadł w pierwszym pokoju, nie wiedząc już co ma począć z ocaloną i z biedną Madzią, ku której ona okazywała niechęć i gniew nieprzeblagany.

Niezrażona tém siostra, nie odstępowała od łóżka, zmuszając ją do brania lekarstwa, klękając przed nią i błagając.

Zonia patrzeć na nią nie chciała, w kilka godzin później niecierpliwość ocalonej doszła do tego stopnia na widok siostry, że na pół zerwawszy się z łóżka, zaczęła wołać.

— Ale uwolnijcież mnie od tego anioła, bo ja jestem szatanem, ja go nie znoszę.

Na wszystko co chcecie przysięgnę, że życia sobie nie odbiorę; tylko niech mi go ona swoim anielstwem nie zatruwa... niech jedzie się modlić, jeśli chce za grzechy moje! a niech mnie zostawi samę.

Chorążyc zbliżył się, chcąc ją ułagodzić, rzuciła się ku niemu z prośbą.

— Słowo, ręka, przysięga, życia sobie nie odbiorę, dość téj głupiej próby, ale Madzia niech powraca zkąd przyjechała, ja z nią żyć nie mogę.

Siostra, całując po rękach, przeproszała ją, nic to nie pomogło.

— Jesteś aniołem, samą dobrocią i poświęceniem, wołała namiętnie, winnam ci życie, ale właśnie dla tego, niech ja cię nie widzę... Jedź! ty tu umrzesz ze mną, a ja się wścieknę!

Na to usposobienie nie było ratunku. Madzia uciekła, schodząc jęj z oczów do Trawcewiczowěj, aby się tam wyplakać i położyć do łóżka, gdyż poczuła się chorą, a Ewaryst musiał natychmiast po doktora spieszyć.

Przy Zoni zostawiono kobietę, która przyrzekła jęj nie opuszczać.



Wieczorem Madzia leżała w gorączce, i tydzień cały Chorążyc był w wielkiej o nią trwodze, a młodość tylko i spokój z jakim zniosła cierpienie, uratowały ję życie.

Zonia wstała już trzeciego dnia, i boleść ję ostygła znacznie. Wiedziała o choręj siostrze, ale sama to czuła, że się ję pokazywać nie mogła. po okrucieństwie z jakim się z nią obeszała.

Madzia, zaledwie powstawszy po chorobie, zaczęła myśleć o wyjeździe do Zamiłowa, tak smutna i cierpiąca na duszy, tak znękana niepowodzeniem swojej wyprawy, że Trawcewiczowa po całych dniach nad nią płakała, zapomniawszy o swych kurczętach. Ewaryst przychodził się podedrzwi dowiadywać do niej, a gdy doktor zgodził się na wyjazd. sam zaczął przynaglać, aby powracała.

Nadszedł dzień wyjazdu, Madzia nie mogła od-  
dalić się bez pożegnania. Zebrała resztę pieniędzy, aby je Zoni zostawić, zaledwie tyle co na drogę było potrzeba biorąc z sobą i uprosiła Chorążycą, aby dla uniknienia jakiej przykręj sceny poszedł razem z nią do Zoni.

Zastali ją już zatopioną w książkach, bo się z nową gorącością rzuciła do nauki, aby o bólu zapomnieć, wychudzoną, rozgorączkowaną, powierzchownie zaniedbaną, przyodzianą bez najmniejszego starania, z włosami nieuczesanemi, tak, że robiła wrażenie jakiegoś zdziczałego stworzenia.

Ujrzawszy w progu siostrę, Zonia gwałtownie odrzuciła książkę i podeszła ku niej. Nie mogło to ujść ję oka, ani wprzód wiadomości, że Madzia ciężko

przechorowała. Twarz zmieniona dawała poznać, że słabość była groźną, dziewczę chwiało się jeszcze na nogach, a widok siostry poruszył je tak mocno, że zaraz u drzwi przysiąść musiała, by zebrać przytomność i siłę.

Zonia patrzyła na nią z jakąś dumą razem i politowaniem.

— Żal mi cię serdecznie, odezwała się stojąc przed nią, żeś się tu tak wybrała mnie nawracać, nie mając po temu sił i odpokutowała za moje grzechy.

Słabe z ciebie stworzenie. Patrzaj na mnie, com straciła dziecko i ukochanego i wszystkie życia nadzieje i ochotę do niego, widzisz, że jeszcze lepiej się trzymam od ciebie!!

Przepraszam cię, moja Madziu! nie umiem być inną tylko taką jaką mnie Bóg stworzył!

— Nie masz za co przepraszać, odparła z wolna odzyskując siły Madzia. Zrobiłam com była powinna, a że się to na niewiele przydało, nie moja wina!

Westchnęła. Ty się nie gniewaj na mnie, mogłam być niezręczną, alem z dobrego serca chciała ci przyjść w pomoc.

— To daremna, nie pomoże mi nic, sucho odezwała się Zonia.

— Ja muszę powracać, mówiła z cicha Madzia... chcę się pożegnać.

I z płaczem rzuciła się jej na szyję.

— Zoniu kochana, odezwała się łkając, wróć do Boga, pomódl się, spokój ci da skrucha, pociechę— modlitwa, cierpliwość — rezygnacja... Wiele zniosłaś będzie ci to policzone... Moja droga!

Zonia przerwała suchym śmiechem.

— Bądź spokojna o mnie, przebaknęła, będę wiedziała co czynić i jak sobie drogi szukać. Kazałście mi żyć, muszę się o to starać, aby życie sobie uczynić znośnem.

Z chwili téj korzystała Madzia, aby węzełek z piędzmi wcisnąć nieznacznie w ręce Zoni i szepnąć jój. Jeśli mnie kochasz, weź, ja nie potrzebuję.

Po krótkiem wahanii się i namysle, Zonia przyjęła dar siostry i w milczeniu ją w czoło pocałowała zadumana.

— Kiedyś się porachujemy, dodała, ja nie rozpaczam, że moje długi popłacę!

Słowa te wyrzekła z dumą jakąś, jakby groźbą.

Poszły potém dwie siostry na chwilę do drugiego pokoju, bo Madzia potrzebowała jeszcze prosić Zoni o coś na osobności, prośby jój te wszystkie zwracały się ku Bogu i modlitwie, bo ona innej ucieczki i ratunku nie знаła.

Zonia przyjmowała je uśmieszkiem szyderskim, ruszaniem ramion i milczeniem. powtarzając. O! nie frasuj się o mnie, dam sobie rady!

W wyrazach tych przebijała się jakby już osnuta myśl postępowania w przyszłości.

Gdy obie razem wyszły do pierwszego pokoju, w którym na nie Ewaryst oczekiwał, aby Madzię odprowadzić, Zonia zbliżyła się ku niemu.

— Choć Madzia wyjedzie, możesz mnie przecie czasem odwiedzić, odezwała się. Prawda, że już teraz w tym skelecie kochać się jak dawniej nie będziesz, ale tém lepiej, bo mnie nudzić a sam się męczyć przestaniesz. Przyjdź czasem jak do dobrego kolegi.

Ja dalej uczyć się myślę i iść tak daleko jak mi siły starczą. Nauka wreszcie potrzebną mi jest, aby sobie na chleb zarobić.

Madzia znowu rozplakana uściskała ją namiętnie, Zonia pozostała zimną, i mogło się zdawać, że tę naturę skłoną do sprzeczności właśnie jej czułość pobudzała do ostygania i szyderstwa.

Ewaryst idący za Madzią pozostał był nieco u progu, gdy wskazując na nią z rodzajem uśmiechu dziwnego, Zonia szepnęła mu na ucho.

— Jaki jesteś ślepy! Cała ta czułość siostry dla mnie, czyż ty nie rozumiesz tego, była... aby się zbliżyć do ciebie. Biedaczka się w tobie kocha bez nadziei...

To mówiąc zamknęła silnie drzwi, a Ewaryst oburzony i zdziwiony, pospieszył za uchodzącą ze ściśniętym sercem biedną Madzią, na którą pod wschodami, już ubrana i do drogi gotowa czekała Trawcewiczowa.

— Otóż się Pan Bóg przecie nad nami ulitował, zawołała, że nas wyrwie z tego piekła.

Po odjeździe Madzi, Chorążyc długo bardzo nie widział Zoni, a mało co słyszał nawet o niej. Niektórzy z towarzyszków opowiadali mu, że cudownie po doznanym ciosie przyszła do zdrowia, wypiękniała, ożywiła się i znowu gorąco zajmowała nauką, a więcej jeszcze kwestyami społecznymi, o których namiętne rozprawy toczyły się u niej na wieczorach, często do późnej nocy.

Co najzapaleńsza młodzież zbierała się tam na herbatę, cygara i rozmowy wielce ożywione. Widywano tam panią Heljodorę i dwie czy trzy panie, równie postępowe i wyemancypowane jak gospodyni. Towarzystwo to tak do smaku przypadowało młodym panom, iż codzień prawie było ich tu pełno.

Opowiadano Ewarystowi o tych przyjęciach u Zoni, jako najnieczeremonialniejszych w świecie. Studenci przybywali poubierani jak się komu podobało, herbatę rozdawano o tyle o ile szklanek stawało, a drudzy na nią czekali. Papierosy przynosił z sobą każdy, siadał gdzie chciał i gdzie miejsce znalazł, a nieład miał panować w dwu pokoikach prawdziwie studencki.

Nie trafiło się Chorążycowi spotkać z kuzynką, aż w kilka dobrych tygodni i ledwie ją poznał. Gdy widział ostatnią razą, była żółta, blada i wychudła, teraz ją znalazł odmłodzoną, rozkwitłą, świeżą, z twarzą wesołą i urągającą światu, z wejrzeniem jasnym i śmiałym, zmienioną tak nadzwyczajnie, iż nie mógł się wstrzymać od podziwienia.

— Prawda? znajdujesz, że znowu wyładniała, odezwała się do niego śmiejąc i poprawując piękne swe włosy, z rodzajem kokieteryi burszowskiej ułożone. Cóż ty chcesz? wiecznie się gryźć niepodobna! [ Życie jest głupią rzeczą, którą trzeba władać rozumnie.] Nauczyłam się o nic nie dbać. Walka... to walka, kto w niej padnie, sam winien.

Popatrzyła na Chorążycę, który milczał.

— No, przyjdź że kiedy do mnie! dodała. Tyś się kochał we mnie, prawda? ale to już przeszło, a ja miałam i mam słabość do ciebie. Chciałabym z ciebie zrobić człowieka!

Poczęła się śmiać i podała mu rękę.

— No, do zobaczenia! nie prawdaż?

I nie czekając odpowiedzi poszła dalej wesoło.

Ta nowa metamorfoza Zoni znowu przykre jej wspomnienie odświeżyła Chorążycowi. Pochlebiał sobie, że zapomniał już o niej, że się zupełnie rozczarował i ostygł! Niestety! [nie ma nic niebezpieczniejszego nad żar pod popiołami ukryty!] Chorążyc wrócił do domu rozmarzony tym zjawiskiem, nęcącym go ku sobie siłą dla niego niezrozumiałą.

Czém mogła w nim budzić tę nadzwyczajną sympatyę, sprzeciwiającą się rozumowi, nie mającą siedliska w sercu, gnieźdzącą się w jakiejś fantazyi

zmysłowój! Ewaryst nie mógł sobie wytłómaczyć, i sam na siebie się oburzał.

Mógł zaledwie czuć dla niej politowanie, na miłość nie zasługiwała, a Chorążyc kochał się w niej namiętnie. Czuł to, że gdyby się jój dał wciągnąć w bliższe, codzienne stosunki, ta kobieta by go opanowała, a nawet, drżał na myśl samę, sprowadzić go mogła z drogi surowszych obowiązków, zaszcześcić w nim swą niewiarę i szyderstwo ze wszystkiego.

Postanowił więc unikać jój, a to mu przyszło tém łatwiej, że w dni kilka odebrał nagle oznajmienie o słabości ojca, z rozkazem, aby jak najprędzej do Zamiłowa przybywał.

Przejęty trwogą, nie stracił ani chwili, a jednak, gdy już miał siadać na wózek pocztowy, ulegając niepojętej jakiejś słabości, zajechał do Zoni, aby jój swój wyjazd oznajmić.

Znalazł ją samę, siedzącą w oknie i zadumaną.

— Jadę do Zamiłowa, rzekł wchodząc szybko, ojciec mocno zapadł, muszę spieszyc. Chciałem ci to oznajmić, nie wiem kiedy powrócę... Każesz mi co Madzi powiedzieć.

— Kłaniaj się kiedy chcesz, zimno odparła Zonia. Przyznam ci się, że mi to przykrość robi, iż jedziesz, choć prawie cię nie widywałam. Nawykłam ot tak, nie wiem czemu, rachować na ciebie, choć na wypadek pogrzebu! dodała z uśmiechem gorzkim. Ty mnie teraz uuikasz, a ja często myślę o tobie. Ci co mnie otaczają, to hałastrą, niewiele warta...

Wracajże proszę, a nie zapominaj o Zoni.

Wyciągnęła mu rękę, Ewaryst ją uścisnął ze wzruszeniem.

— Dwa słowa, dodał, kiedy już rachujesz na mnie, pozwólże mi spytać się, możesz być w potrzebie? mów otwarcie.

Zawahała się rumieniąc nieco Zonia, poprawiła włosy.

— Potrzeby moje nie są wielkie, rzekła, jeżeli możesz...

Nie dokończyła, Chorążyc natychmiast wypróżnił pugilares i co miał położył na stole. Zonia raz jeszcze milcząc, zawstydzona trochę, wyciągnęła rękę do niego.

— Dziękuję, rzekła cicho, i głosem złamanym dodała nakazująco.

— Wracajże... proszę.

We wzroku, który ku niemu zwróciła, było coś jak wilgotna łza, a w głosie jak tłumiony płacz.

Ewaryst był również poruszony i chcąc ukryć wrażenie jakiego doznał, pożegnał się co prędzej i wyszedł.

Wsiadając do bryczki, ujrzał ją zdala na galerji domu stojącą i dającą mu chustką znak na pożegnanie.

Wszystko to byłoby może niebezpiecznie podziało na niego, gdyby nie ciężar, jaki miał na sercu, gdyby nie myśl o ojca chorobie, o tém co zastanie w domu.

Obiecawszy podwójną zapłatę na pocztach, pędził nie zatrzymując się aż do ostatniej stacyi od Zamłowa, dzień i noc, nie zsiadając prawie z bryczki. Najstraszniejsze trapiły go przecucia.

W miasteczku, do którego przybył drugiego dnia wieczorem, miała go niespodzianie spotkać ta



wiadomość, której się tak lękał. Znalazł tu starego Piusa, z oczyma zapłakanemi. Chorąży od wczoraj nie żył!

— A! panie, jękał się, oczy ocierając dawny sługa domu, tak umierać to doprawdy lepiej jak żyć. Skończył jak święty, pan Chorąży... Czuł swój zgon nadchodzący, przygotował się do niego pobożnie i umarł z gromnicą w ręku, z modlitwą na ustach, jakby w Bogu usypiał.

Chorążyc obawiający się o matkę, której znalazł przywiązanie do ojca, tém pilniej jeszcze pospieszył ztąd do Zamiłowa. Przeraziła go ta myśl, jak tam znajdzie biedną wdowę i cały ten dom okryty tak nagłą żałobą.

Noc była, gdy stanęli u wrót. Zwykła cisza i spokój panowały we dworze, tylko zdała widać było, przez lekko przysłonione okiennice pokoju, w którym ciało było złożone, światło otaczające grobowe łoże i śpiew cichy dochodził uszów ze swą nutą przeciągłą, tęskną, pełną bólu razem i nadziei.

Wchodząc wprost do ciała ojca, zastał przy kłęczniku nad książką załzawioną matkę, która z cichym smutkiem chrześcianki modliła się, z majestatem boleści poważnej, powściągniętej, jaki wiara daje tylko głęboka.

Wstała na widok syna, który klęknął najprzód nogi ojca całując, a gdy powstał chwyciła go milcząc w objęcia i trzymała długo, jako jedyną już życia podpore.

Ewaryst znalazł ją dziwnie, nadludzko już uspokojoną, przytomną, panią swęj boleści.

— Dziecko moje, rzekła, wyprowadzając go z sobą, nie mogłeś przybyć po ostatnie jego błogosławieństwo, lecz błogosławił cię nieprzytomnego i spłynie to słowo ojcowskie na głowę twoją, a puklerzem ci będzie w życiu. O! jak piękną miał śmierć! o! jak ubłogosławioną, jako życia nagrodę..,

— Teraz, dziecko moje, dodała, tyś tu już panem...

— A! matusiu kochana, nie ja! nie ja! przerwał Ewaryst, i niech muie Bóg broni od tego, abym o tém pomyślał, tyś tu panią jedyną.

I przypadł do kolan jój rozrzewniony.

Nazajutrz dzień eksportacyi i pogrzebu był wyznaczony, a rozporządzenia Chorążego tak wszystko ułatwiały, iż najmniejszego zachodu nie miał nikt około tego aktu uroczystego. Chorążyna tylko, na siebie biorąc odpowiedzialność, pogrzeb usiłowała wspanialszym uczynić niż go chciał mieć nieboszczyk.

Wśród egzorty żałobnej, ks. Zatoka, przyjaciel Chorążego, sam się tak rozplakał, mówiąc o cnotach jego, że choć z wymowy nie sływał, wszystkich do łez pobudził.

Szła za pogrzebem podtrzymywana z jednej strony przez syna, z drugiej przez Madzię Chorążyną, dotrwała mężnie do końca i powróciła do Zamiłowa z tém samém mężstwem, którego teraz nowe, osierocone życie potrzebowało.

Ewaryst musiał, dla pomocy i pociechy matki, jakiś czas przy niej pozostać.

Chorążyna nawet starodawnym obyczajem, zbyt niżej wagi nie przywiązując do nauk a wielką do

praktyki i czynnego życia, chciała syna wyciągnąć z Kijowa i osadzić na wsi.

Sama zamierzała pozostać przy nim, dopóki by się nie żenił, a potem uspokojona o niego, chciała osiąść w drugim folwarku i tam czekać końca, którego prawie z utęsknieniem wyglądała.

W domu tym, którego osią niewidomą był ów starzec, co teraz ubył mu tak nagle, brakło go na każdym kroku, przypominał się co chwila, lecz pozostał po sobie wszystko w takim porządku, tak naprzód obrachowane, iż zdało się jakby jeszcze on miał w ręku zarząd cały.

— Tak Jegomość nieboszczyk chciał, tak pan Eljasz rozporządził, odzywało się ciągle.

Gdy się nieco uspokoiło w domu po pogrzebie i wszystko weszło w dawne karby, Madzia dopiero śmiała się zapytać Chorążycę o siostrę. Uczyniła to zakłopotana, rumieniąc się, wstydząc niemal tej pocziwej ciekawości swojej.

— Cóż z tą biedną się dzieje? przebaknęła nieśmiało.

— Mało ją widywałem, odparł równie zmieszany Ewaryst. Na wyjezdnem tylko byłem u niej. Nie zdaje mi się, aby tam zaszło co nowego, nic gorszego.

Madzia spozrzała badawczo na niego, chcąc więcej z niego wyczytać niż mógł jej powiedzieć. Ewaryst dodał prędko.

— Wierz mi. Madziu, ja nie straciłem wszelkiej nadziei.. Biedna Zonia, której nieszczęściom winno jej wychowanie, w samych nich znajdzie lekarstwo.

Nie rozpaczam! powtórzył.

— A! dałby to Bóg — odparła Madzia, aby się słowa twoje sprawdziły.

Rozmowa nie przeciągnęła się dłużej dnia tego, lecz następnych, przy wszelkiej zręczności, przy każdym spotkaniu Madzia usiłowała zręcznie wybadać kuzynka. Ten w istocie niewiele jej mając do powiedzenia, powtarzał swe pociechy.

Prawie dwa miesiące przeciągnął się pobyt Ewarysta na wsi, lecz w końcu, mimo usilnego nalegania matki, potrzebował wrócić do Kijowa, ażeby tam raz nauki dokończyć i zdać egzamina. Wszystko to razem nie powinno się było nazbyt przeciągnąć, a Chorążyna cieszyła się zawczasu, że ta podróż będzie już ostatnią i że Ewaryst wróciwszy osiadzie na wsi. Jedyną jej myślą teraz było, dla siebie jak najmniej ze dworu zostawując, przygotować synowi pobyt wygodny i miły.

W czasie, który miał spędzić w Kijowie, Chorążyna chciała oczyścić, poprzerabiać, ustroić pokoje dla syna. Teraz on w jej przekonaniu był głową domu.

Napróżno Ewaryst prosił, aby go w dawnych jego pokojkach zostawiono, Chorążyna mu nawet nie odpowiadała. Z dnia na dzień ściągany wyjazd na ostatek został już na pewno oznaczony. Ponieważ przedtém testament był otwarty i w nim zapis dla Madzi i Zoni wyczytano, mógł Chorążyc pod pozorem częściowej jego spłaty (choć ta była za mąż pójściem obwarowaną) coś zawieźć Zoni, aby jej życie ułatwić. W wigilią też czatowała nań Madzia, która ściągnęła swojego co mogła, prosząc go o zabranie listu do siostry.

Zaledwie przybywszy napowrót do Kijowa, nazajutrz pośpieszył do Zoni Chorążyc, a chcąc ją zastać samą, poszedł rano.

Nie było jęj jeszcze w domu, lecz bardzo gadatliwa sluga nowa upewniła, że natychmiast pani nadejdzie, wstrzymał się więc oczekując na nią.

Mieszkanie téż same, które znał, mało co znalazł zmienione, coś jednak jakby nowem, innem życiem wionęło po niem. W oknie stały kwiatki, których tu nigdy nie bywało, więcej czystości, porządku, nawet małych elegancyj dostrzegł zdziwiony nieco Ewaryst...

Między książkami rozrzuconemi na stoliku, dostrzegł i poezyi i romansów, wprawdzie bardzo śmiałych i jaskrawych, lecz z innego przybyłych świata.

Siedział chwilę rozpatrując się w tém Ewaryst, gdy w progu stanęła Zonia i wesołym przywitała okrzykiem. Spojrzenie na żalobę kazało się domyślać straty jaką poniósł.

Zonia, która przy ostatniem ich widzeniu się była już odmłodzoną i zmienioną na korzyść swoją, wydała się Chorążycowi jeszcze piękniejszą teraz, ślady tego co przecierpiała znikły zupełnie, twarzyczka się wypełniła, oczy śmiało i wesoło patrzyły, ubrana była z pewnem staraniem, pół męzko, pół po kobiecemu i stawiała się z jakąś brawurą, z którą jęj było do twarzy.

Nie kryła bynajmniej radości jaką jęj sprawiał widok Ewarysta, chwyciła go za obie ręce, wpatrzyła mu się w oczy i powtarzała poruszona.

— A! przecież wróciłeś! myślałam, myślałam doprawdy, że cię chyba nigdy nie zobaczę i czu-

łam, że ty mi jesteś potrzebny, ażem się na siebie gniewała!

Te oświadczenia niespodziewanej czułości wprawiły Ewarysta w niewysłowiony niepokój i trwogę. Chciało mu się uciekać, taką w nim budziła obawę.

— Mówiłam ci ostatnią razą gdyśmy się widzieli, dodała po chwili, że mi ci ludzie, ta młodzież, z jednym wyjątkiem ciebie, obrzydliwość sprawiają! Wszystko to małe, dziecinne, fałszywe, nadęte, chytre — paskudne. Jacy z nich ludzie porosną, ja nie wiem...

Mówiła żywo, nie dając się prawie odzywać Ewarystowi, pilno jej było wypowiedzieć się przed nim.

— Widok tych młokosów już mnie wcale nie bawi. Lalki otrębami powypychane. Wszystko to głośno wyznaje pryncypia, których jutro się wyprze dla kawałka chleba. Pamiętasz tego szanownego mistrza mojego i ojca Jewłaszewskiego, od którego całusa mnie uratowałeś.

Był to przecie wódz nasz i prorok, jasna gwiazda! Nie wiem zkąd spłynął na niego strumień złoty, i prorok zmienił się w najpociesznieszego trutnia, który od swych adeptów jak od zapowietrzonych ucieka.

Żebyś go widział teraz! Nie zna nas! Boi się spojrzeć, aby nie skompromitować.

Jego *alter ego* Żyżyński dostał mały urzędzik i zerwał z nami... Dobre są zasady, ale chleb i spokój dla nich jeszcze lepszy. Mizerne robactwo!

Splunęła z pogardą. Ewaryst, który patrzył na nią i słuchał z zajęciem, mimowolnie był pod urokiem

jój słów gorących... wydała mu się, jak niegdyś, zachwycającą.

— Ludzie, dodała — mają jasne chwile szlachetne i poczciwe, to prawda, ale w ogóle i z natury swęj są podli. Nie wyjmuję siebie!!

Zwróciła oczy za okno, przy którém siedziała i zamysliła się dumnie. Twarz jej z tym wyrazem pogardy dla świata była piękną jak starożytna maska tragiczna, i straszną zarazem. Chorążyc oka z nięj spuścić nie mógł.

Po krótkiém milczeniu począł mówić o domu, o Madzi, i usiłował naprowadzić rozmowę tak, aby przywiezioną dla nięj pomoc mógł oddać. Gdy zagaił o tém zdziwiła się mocno, ale weselęj spojrzała i odechnęła.

— W mojem życiu, odezwała się, ty jeden zawsze przybywasz w porę. Dziwna rzecz, zaczynam wierzyć w jakiś fatalizm, który nas z sobą wiąże. Boję się bym nie uczepliła się ciebie jak kamień do szyi, bo ja nie mogę być czém inném tylko kamieniem! Niestety!

Chorążyc powiedział jakichś kilka słów niezrozumiałych, był nad miarę wzruszony.

— Jak to nigdy pierwszym wrażeniom, które mają być tak trafne, wierzyć nie trzeba, dodała Zonia, wydawałeś mi się z początku nieznośnie sztywnym, teraz czuję w tobie życie.

Ewaryst chciał już co najprędzēj przerwać tę niebezpieczną rozmowę i składał list i pieniądze aby ją pożegnać, choć go wstrzymać usiłowała, gdy weszła pani Heljodora.

I ta od czasu jak jęj nie widział Ewaryst, zmieniła się w osobliwszy sposób, wybielała, utyla, spoważniała, a strój jęj był daleko staranniejszy.

— Panią Heljodorę niegdyś Paramińską, wdowę, odezwała się szydersko Zonia, prezentując panu jako panią młodą, od miesiąca zaślubioną przez Radzcę nadwornego Majstruka... A cóż? nie siurpryza! Wprawdzie Radzca nadworny bez zębów, ale oboje mają co jeść.

— Ale, proszę cię — ty papugo nieżnośna! zawołała pani Majstrukowa. Już ci język świerzbiał.

— Jakże nie? odparła Zonia, taka metamorfoza! Heljodora wyrzekła się szatana i spraw jego, wieczorków ze studentami i rozpraw o chłopach i emancypacjach, a ma za to pozycją socyalną. Radzcę bez zębów i...

Pani Heljodora blizką była gniewu. Zonia uściśkała ją i zamilkła.

— Mogłabym i ja coś o tobie powiedzieć, ty szatanie długojęzyczny, odezwała się niegrzecznie pani Majstrukowa, ale się mścić nie chcę.

Zonia się zarumieniła nieco.

— Przynajmniej mi nie zarzucicie, abym przeszła do cudzego obozu! odezwała się, a z nędznego życia mojego nikt mnie rachunku słuchać nie ma prawa!!

Ewaryst byłby się może ze szczebiotania dwóch przyjaciółek wiele ciekawych rzeczy dowiedział, lecz skorzystał z przyjścia pani Majstrukowej, aby Zonię pożegnać.

Odprowadziła go do drzwi i w progu nakazująco powiedziała.

— Ale bywaj że u mnie!



Mówiła to z takim przekonaniem o swęj sile, jakby wiedziała, że Chorążyc oprzeć się jęj nie potrafi.

Wchodził do nięj z obawą, ale wyszedł teraz upojony tak: iż sam siebie się wstydzil. Biło mu serce nie litością już dla szalonęj tęj Zoni, ale namiętnością ślepą, niepamiętną ni jutra, ni nawet godności własnej.

To, co powinno było Chorążycyca ustrzedz od niebezpieczeństwa, jego życie przeszle skromne, samotne, dalekie od zwykłych męzkich płochoci młodzieńczych,—czyniło go właśnie słabym. Była to pierwsza jego namiętność, wybuchająca z taką siłą, że walczyć z nią nie umiał.

Pragnienie zblizenia się do Zoni, niepohamowane, łączyło się w nim z trwogą zwiastującą niebezpieczeństwo. Wiedział, że oprzeć się jęj nie potrafi w niczém, że ona może go zaprowadzić na bezdroża, i zawczasu czuł, że szal będzie musiał okupić wstydem i łzami.

W kobięcie tęj grała chwilowa fantazyja jakaś, pobudzając do drgania wystygłe serce, w nim z krwią razem poruszała się dusza. Było to pierwsze marzenie jego.

Nie chcąc myśleć nawet o tēm, bo myślenie działało nań burząco, Ewaryst nie powrócił do siebie, poszedł do dawnego znajomego Euzebjusza Komnackiego, aby jakięms nowém wrażeniem zatrzyć pamięć o tēm, co go tak silnie poruszyło.

Zastał go nad pisaniem rozprawy, otoczonego książkami, tak ostygłego i zagrzebanego w studyach jak go zostawił.

Zazdrościł mu. Komnacki powitał go kondolencją, słyszał bowiem o śmierci Chorążego.

— Zapewne powrócić będziesz musiał na wieś, ty szczęśliwy człowieku, rzekł do niego Euzebjusz, gdy ja prawdopodobnie otrzymawszy stopień, gdzieś bakałarzować będę zmuszony.

— Nie wiem jeszcze kiedy wrócę do wiejskiego życia, ale i ja egzamina chcę zdać wprzód, zabawię więc czas trochę dłuższy.

— Gdyby nie książki i nie kilku ludzi poważniejszych, nudziłbym się tu strasznie, dodał Komnacki. Próbowałem dla odmiany trochę się pokumać z młodzieżą i odwiedzić parę razy nasze znajome, panią Heljodorę, pannę czy panią Zonię—ale...

Tu Euzebjusz uciał nagle.

— Pani Heljodora poszła za męża, przerwał Ewaryst.

— Wiem o tém, musiała biedna skończyć na starym Radzcy, mówił Komnacki, a owa Zonia wygląda jeszcze podobnego końca.

Przepraszam, wtrącił, jest że to istotnie jaka kuzynka twoja? Chorążyc zlekka się zarumienił.

— Daleka bardzo krewna, odparł, której dola mocno mnie jednak obchodzi.

— Tém gorzej, rzekł p. Euzebjusz, bo, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, szczęśliwą być nie może. Kobięta wielkich zdolności, jak się zdaje, ale jeszcze większego rozpasania umysłowego. Złe towarzystwo ją zgubiło.

— Zdaje mi się, odezwał się trochę dotknięty tém Chorążyc, czując już obowiązek bronięcia jej, że

nieszczęścia, których doznała, sprowadzą w nią zmianę na lepsze.

Euzebjusz się uśmiechnął.

— Ha! daj to Boże—odezwał się, lecz są kresy, z których zawrócić się niepodobna, a ta biedna podobno je przekroczyła.

Chorażycowi zrobiło się smutno i boleśnie, lecz widział w tém razem lekarstwo na namiętność swoją.

— Przez parę miesięcy tu nie byłem, rzekł, nie wiem co się z nią działo.

— Uczyła się i trzpiotała razem, odparł Komnacki. Młodzież do niej lgnie, bo nigdy nic podobnego w płci niewieściej nie oglądała, a ona!

Ruszył ramionami.

— Nie słyszałeś o czém, o kim? spytał nieśmiało Ewaryst.

— Nic tak dobitnego i pewnego, rzekł Komnacki spokojnie. Wiem, że raz już przez nią podobno odprawiony bogaty ów młodzik, Zorjan, na nowo się do niej uwiązał i przyjmowała go czas jakiś, ale przepędziła w końcu. Mówiono mi o innych, że chwilowo byli w łaskach, wszystkich podobno ten los spotyka, że nielitościwie ich wyszydziwszy precz odgania.

— W tém nie byłoby jeszcze nic tak ostatecznie złego, odparł Ewaryst.

Komnacki się skrzywił i zwrócił rozmowę na co innego, dłużej go dopytywać nie chciał Chorażyc.

Wrócił spokojniejszy do domu, sam się okłamując i dowodząc, że w istocie w stosunku tym nie było dlań tak wielkiego niebezpieczeństwa, jak sądził w początku. Sama płochosć Zoni, na którą miał patrzeć, była zbawienném lekarstwem.

Nazajutrz z ostyglejszą już myślą wszystko rozważywszy, powrócił do pierwszego, dawnego postanowienia, aby Zoni o ile możliwości unikać i nie spotykać się z nią, chyba bardzo rzadko.

Miał tyle mocy nad sobą, że choć po kilkakroć był już w drodze do Zoni, wrócił do domu, poszedł gdzie indziej, przemógł tę siłę co go ciągnęła.

Upłynął tydzień, Chorążyc tryumfował; a jednakże ciągle o tém tylko myślał i walczył z sobą. Zamykał się w domu, zagrzebywał w robocie.

Jednego wieczora znowu się tak zwyciężywszy, zasiadał do pracy, gdy drzwi się otworzyły, weszła Zonia.

Znać było po niej, że przywiezione jój pieniądze, po kobiécemu użyła, co jakoś do niej nie było podobne. Była strojna, kapelusik, futerko, zarekawek, aż do bucików ciepłych, wszystko miała jak z igły.

Wchodząc, zatrzymała się w progu.

— Czy można?

Ewaryst porwał się zmieszany.

— Proszę się nie ruszać. siadam na przeciw, ogrzeję się i wychodzę, bo wizyta moja, o tój porze, tak przyzwoitego młodzieńca mogłaby nawet skompromitować. Nie byłam w sile oprzeć się tój zachciance. Tydzień nie byłeś u mnie. Góra przyszła do Mahometa.

Wszystko to mówiła głosem jakimś nie swoim, słodszy, bardziej pieszczonym, w którym drgało jakby uczucie.

— Byłem trochę chory i bardzo, bardzo zajęty! odparł zmieszany Ewaryst, właśnie się wybierałem.

— Ale ja wiem, że kto nie chce przyjść jest zawsze chory i bardzo zajęty, rozśmiała się Zonia, rzucając zarękawek na stół i podpierając się na rączkach wedle zwyczaju. Dla tego ja, dodała, chcąc cię widzieć koniecznie, przyszedłam sama.

Westchnęła.

— Widzisz, jak się stałam pokorną i łagodną, zamiast cię łajając, ja się tłumaczę. Co to się stało z tą Zonią!!

Chorażyc słowa nie mógł znaleźć na odpowiedź, krew w nim pobudzona płomieniem biegła po żyłach... Zonia siedziała spokojna jakaś, pół smutna i patrzyła mu w oczy upornie, natarczywie.

— Jużci też przez litość, nawet według waszych zasad chrześcijańskich należało, abys przychodził nawracać nieszczęśliwą, zgubioną grzesznicę, poczęła mówić, a grzesznica sama została zmuszoną przyjść kusić anachoretę!!

Trzeba to było w żart obrócić i Chorażyc wyparł się ostatniego przydomku.

— Jeśli nie anachoretą, przynajmniej jesteś... no—purytaninem, dodała, choć była chwila, gdy się w Zoni kochałeś...

To mówiąc wstała z krzesła.

Poczęła się przechadzać po pokoju, zajrzała do drugiego, oglądała książki, z ciekawością kobięcą odgadywała życie Ewarysta, po tém co do niego należało.

Książka jakaś zajęła ją, wzięła z półki nie pytając i włożyła do zarękawka. Obchodziła się z mieniem i osobą Chorażycy jakby do nich miała prawo zupełne.

Przeszedłszy się tak parę razy, wzięła swój zarękawek z książką.

— Idę—nie odprowadzisz mnie?

— Z chęcią, rzekł Ewaryst, ale jeżeli tam zastaniemy zwykle towarzystwo?

— Nikogo! dałam im wszystkim odprawę, odezwała się Zonia. Zorjan znowu mnie chciał uszczęśliwić, dwóm czy trzem innym musiałam drzwi pokazać... a teraz się nudzę jak grzeczne dziecko. Wieneś mi za to indemnizacją!

Mówiąc tak zeszli powoli ze wschodów, w ulicy zerwała się była zawieja, śnieg miótł okrutny, Chorążyc zawołał na sanki. Siedli do nich oboje i zwoszczyk popędził cwałem.

— A! tak lecieć! lecieć, na koniec świata! zamknąwszy oczy!

Przysunęła się do Ewarysta.

— Nie każ jechać do domu! ruszajmy gdzie w świat. Mróz jest dobry, ja powoli usnę, a we śnie, mówią, lekka śmierć przychodzi... Tak sobie umrę, przytulona do ciebie...

Zamilkła.

Po krótkiej przejażdżce, sanki stanęły u drzwi kamienic.

— A! już! odezwała się wstając... tak prędko ..

Powoli zadumana powlokła się na wschody, spierając na rękę Ewarysta, nie mówiąc nic. Weszli tak na górę.

Tu jak przebudzona Zonia zawołała na służbę o samowar i herbatę

— Będziem sami, w zawieruchę nikt nie przyjdzie — odezwała się.

Chorażyc był ciągle jak pod wrażeniem snu jakiegoś męczącego razem i miłego... Zonia choć mało zdawała się zważać na niego, widziała dobrze co się z nim działo. Niekiedy uśmiezek szyderski razem i wesoły przebiegał po jój ustach...

Nim podano herbatę wszczęła rozmowę o Zamiłowie, o siostrze, o przyszłości.

— Zakopiesz się na wsi, rzekła, to nieuchronne. Jest to rodzaj barłogu jak te, w których niedźwiedzie śpią przez zimę, spać będziesz wygodnie całe życie. Ożenisz się naturalnie z cnotliwą i spokojną istotą, która... będzie cię mocno kochała, nie mając kogo innego... Wszystko to bardzo ładne, tylko nie wiem czy to nazwać życiem, czy umieraniem. Tępieje wszystko, zmysły, umysł... człowiek grabieje, zdrętwia się, zastygła, nie cierpi i nie czuje. Myśl śmielszą zażegna ks. proboszcz, namiętność ukołysze żona, sercu wystarczą uściski dzieci. Ale czy to życie?

Chorażyc nie śmiał się jój przeciwzić, choć go raniła boleśnie temi szyderstwami.

— Do rozpoczęcia takiego życia mnie jeszcze daleko—rzekł, żenić się wcale nie myślę.

— A! to cię ożenią! przerwała Zonia.

— Nie mam dotąd ochoty, odezwał się Ewaryst. Popatrzała nań.

— Taki klejnot jak ty będzie tak poszukiwanym, dodała Zonia, że w końcu ktoś go pochwyty!

Podawano herbatę. Pierwszy raz Zonia sama koło niej gospodarować zaczęła, dawniej robiła to służąca.

— Widzisz, rzekła — nauczyłam się kobięcych obowiązków, bo na cóż my biędne więćej się wam

zdałyśmy? Obrabiamy wam chustki do nosa, gotujemy w kuchni, smażym konfitury i nosy ucieramy dzieciom.

Kobięta wasza to jeszcze zawsze po staremu sługa... głowy ni myśli podnieść jęj nie wolno, ani mieć serca na swój własny użytek, bo ona należy do pana.

Że wy z takimi mannekinami możecie żyć, kochać się, pieścić i wytrwać, to wam honoru nie czyni. Ja, gdybym była mężczyzną, chciałabym mieć kochankę coby mnie dorosła. Milczał jeszcze Chorążyc.

— Z niewolnicami wygodniej, dodała Zonia, podając mu herbatę...

Wiesz—wtrąciła nagle, ja z miłości pojmuję nawet niewolę, ale dobrowolną!

— Przepraszam cię, Zoniu, odezwał się w końcu Ewaryst, lękam się, abys ty fantazyi nie brała za miłość.

Zonia pobladła nieco, oczy jęj się zaiskrzyły.

— Myślisz? spytała. Ja bo nie wiem, czy która miłość nie jest fantazyą? O wiekuistych na świecie mowy nie ma.

— Ale z nich trwała potęm przyjaźń urasta, rzekl Chorążyc.

— Nałóg po prostu, odparła Zonia—ale i nałóg ma swą wartość!!

Skrzywiła usta i dodała.

— Nie sądź o mnie surowo, Ewaryście, nie miałam nigdy fantazyi, nie kochałam może nigdy, szukałam tylko kochania i pragnęłam go — ale gdy raz znajdzie serce to za częm biegało po świecie!...

Przerwała nagle. milczenie dopowiedziało.



Godzina była późna, Chorążyc siedział jak na żarzących węglach, wstał wreszcie, aby ją pożegnać. Popatrzała nań niespokojnie.

— Wrócisz do mnie? zapytała, chwytając go za rękę, nie zrazisz się zuchwalstwem mojem i narzuca-  
niem?? Wrócisz?

Chorążyc szepnął coś cicho.

— Musisz—dodała, ja ci każę.. nie broń bo się  
tój. . sympatyi (tu się uśmiechnęła) jaką masz dla mnie.

Położyła mu rękę na ramieniu, pochyliła głowę  
ku niemu.

— Jutro — pamiętaj! jutro!

---

Mniej pozornego a zręczniejszego człowieka nad Jefrema Wasyljewa trudno było znaleźć na świecie.

Dorobiwszy się znacznego handlu i posiadłości nieszpętnéj, wcale niezaspokojony tém co miał a mało z tego używał, dzień i noc przemyślał milcząco Wasyljew jakby dorobić się więcej. Patrzył on już na wyrosłe z ziemi jak grzyby fortuny ogromne, miał za co ręce zacześcić, bo i znaczny kapitał obrotowy nosił za czerwoną koszulą, w brudnym pugilaresie, obawiając się go powierzyć kasie; lata go nie przygniatały, umysł żywy był jeszcze, pole na którém pracował wdzięczne, łamał więc głowę jak to wszystko wyzyskać.

Największą troską była dlań kamieniczka, kupiona dla powiększenia handlu, a nie zbyt dobrze procentująca. Odnowione mieszkanie na pierwszém piętrze ledwie po długim oczekiwaniu znalazło lokatorkę, jużci nieszczęście go jęj pozbawiło. Jewłaszewski, który po jejmości odziedziczył zapłacony lokal, w żadnym razie dłużej w nim siedzieć nie myślał nad termin a rad się nawet był pozbyć.

Utrapienie z tém piętrem, które miało znowu stać pustką, tak uciskało Wasyljewa, że przysłała mu myśl genialna.

Postanowił założyć rodzaj herbaciarni i restauracyjki na górze. Był to doskonały sposób puszczenia w obieg z zyskiem wielu artykułów handlu znajdującego się na dole, przywabienia nowych znajomości i zarobku, choć nie bez kłopotu. Dojrzeć zarazem sklepu na dole i gospody na piętrze, dla czynnego i bystre oko mającego człowieka, nie było nad siły. Młodzież akademicka, z którą w wielorakich był stosunkach Wasyljew dawała się pociągnąć łatwo, a i na resztę łaskawej publiczności, szczególnież czasu ożywionych kontraktów liczył zabieглиwy gospodarz.

Nowe czekały go wydatki, bo dla przywabienia gości, potrzeba było na wzór moskiewskich restauracyj sprowadzić choć mały Orchestrion od Kaufmana z Drezna; cały nowy sprawić inwentarz..., na to go jednak starczyło.

Raz powziąwszy myśl, gdy się Jewłaszewskiego pozbył, Wasyljew piorunem ją wykonał i w czasie gdy pan Ewaryst powrócił do Kijowa, już herbaciarnia stała otworem i jak wszystkie zakłady nowe cieszyła się powodzeniem wielkiem. Szczególniej studenci uczęszczali tu chętnie, mając pokój oddzielny dla siebie, gdzie wrzawliwie rozprawiać mogli i rozmaitych wyłącznych używali przywilejów.

Zchodziło się tu i uczącego się i czasem uczonego świata dosyć na wyborną herbatę, do której przekąskę zawsze dostać było można, a w razie potrzeby i wina aż do Szampana.

Przytém gospodarz był przyjacielski, wesół i wydawał się tak dobrodusznym, że go za bardzo potulnego miano. Zabłąkał się tu czasem i pragnący popularności pan profesor i obcy jakiś ciekawy podró-

żny, wprowadzony przez jednego z klientów miejscowych.

Bywali tu po drodze wszyscy niemal w styczności będący z młodzieżą. Na wytworność nie sadyli się Wasyljew, ale to co dawał w szczupłych dozach było dobre; herbata celowała. Każdego téż wieczora szczególnież zimowego, w pokoju na tyle, gdzie palono ile chciano wszelkiego zieska chodzącego pod imieniem tytoniu, pełno było gwarliwych kupek.

Jednego dnia, a miało się już ku wiośnie, choć lody i śniegi uparcie się jeszcze trzymały, siedziało tu kilku młodych ludzi i kilku starszych. Był i pan Euzebjusz Komnacki i piękny Zorjan i część tych co dawniej uczęszczali do Heljodory<sup>4</sup> za czasów Jewłaszewskiego.

— Znacznie się u nas zmieniło od roku, mówił jeden, postradaliśmy Jewłaszewskiego, który nam kominka wywinął.

— Daj mu pokój, przerwał drugi, musiał on mieć słuszne i wielkie powody, ja go nie obwiniam.

— Ja téż nie radbym, odezwał się piérwszy, jednak mi to niezrozumiałe, a koniec końców zawsze dezercya!

— No! no! zaszemrali drudzy, człowiek był wielkiej inicjatywy, budził do ruchu i życia, nie godzi się go potępiać.

— Czekajmy, to się wyjaśni, dodał ktoś z boku.

— A! czekajmy! albo się wyjaśni lub gorzej zaciemni, poprawił inny...

Rozśmieli się wszyscy.

— Nasza pocziwa Heljodora pokutuje radczynią, i ani do niej zajrzeć, mówił z boku trzeci. W uli-

cy spotkawszy ją darmo się człek kłania, odwraca głowę, *nescio vos*.

— Zachciałeś, obawiała się zestarzyć, a nikt inny do ołtarza się nie kwapił.

Z ciemnego kąta wyrwał się ktoś z komentarzem trochę śmiałym, który śmiech tłumiony obudził, inni zaprotestowali.

— Wszystko to nic, wtrącił ktoś z boku, najbardziej żal to Zoni! To była bohaterka nasza, to była Tytania, jak ją słusznie nazywano, to była kobieta jakiej drugiej nie ma na świecie, a i tę straciliśmy.

Rozmowa o Zoni byłaby zaraz ożywiła się, bo kilka głosów gorących podniosło się ze stron różnych, gdy Tardziak jeden z najzwawszych młodzieńców, nie tyle do nauki jak do gawędy i figłów, wszedł śpiewając małosuską piosnkę i wiodąc z sobą jegomości, którego od niejakiego czasu często tu widywano wieczorami.

Był to cudzoziemiec, przybyły przed kilku miesiącami, którego znali z widzenia i nawet niby zbliżka prawie wszyscy, ale właściwie kto on był, co tu robił, po co przyjechał, dla czego siedział, powiedzieć nikt nie umiał.

Zwał się on i mianował Francuzem i na biletach stało: Monsieur Henri d'Estompelles, mówił jednak wysmieniecie po niemiecku, co Francuzom trafia się bardzo rzadko, niezłe po angielsku, wprawnie po włosku, rozumiał po rosyjsku i kaleczył też ten język, równie jak polski, naostatek nie było ludzi trochę znaczniejszych w Europie, o którychby nie utrzymywał, że był ich przyjacielem, i przedmiotu o którymby mówić nie mógł tak zręcznie, jakby był głęboko wtajemniczony.

Typ to był *commis-voyageur*'a ale wyższego rzędu, bystre pojęcie, znajomość ludzi a raczej instynkt w ich ocenianiu, jaki daje doświadczenie, ogromny, ucho baczne, wzrok co zdając się nie patrzeć widzi, przytęm powierzchowność zręczna, obejście się łatwe, wścibstwo i umiejętność badania a niewygadania się, znakomita. Średniego wzrostu, gibki, zawsze bardzo starannie ubrany, uperfumowany, pachnący, pan Henryk obracał się we wszystkich kołach, jakie mu tylko były dostępne. Cisnął się do arystokracji i wpływowych urzędników z natręctwem niemal bezczelnem, z pokorą aż do upodlenia posuniętą, obcował chętnie z młodzieżą i w hulankach brał udział chętny, grał we wszystkie gry, począwszy od bilardu, w którym był mistrzem, był jednem słowem do wszystkiego, a malarosyanie powiadali o nim po swojemu „kudy kiń to Kozak“ (gdzie go rzucisz, kozakiem wszędzie).

Pan d'Estompelles miał, jak powiadał, udział w jakiejś fabryce tkanin jedwabnych, i podróże odbywał dla studyowania gdzieby się one umieścić dały, zarazem jednak podejmował się sprowadzać wina z Bordeaux, maszyny z Belgii, zegarki ze Szwajcaryi i konserwy mięsne z Ameryki.

Tych mnogich interesów, któremi był obciążony, wcale po nim domyśleć się nie było podobna.

Na pozór nie robił nigdy nic, bawił się po dniach i nocach, w takich towarzystwach gdzie nawet guzika kościanego umieścić nie było podobna, a w rozmowach poruszał chętnie takie kwestye, które z powołaniem jego nie miały najmniejszego związku.

Chociaż na biletach stało owo *de* arystokratyczne, w demokratyczniejszych kołach mówił po cichu, że

nazywał się po prostu Destompelles, bez apostrofy, a przybrał ją w interesie handlowym, aby z nią łatwiej wniknąć do towarzystw, które mu były potrzebne.

Potrzebnemi zaś, dziwna rzecz, zdały się być te, do których najchętniej uczęszczał, choć w nich owa apostrofa wcale nie była cenioną.

Średnich lat, ale trzymający się młodo i obyczajem mając do zbytku młodzieńcze, pan Henryk ze studentami był w najlepszej komitywie, za pan brat. Ugaszczał ich, dawał się zapraszać, i nie było nad niego lepszego, szaleńszego koleżki.

Rozumié się, że przybylec z zachodu wiozł z sobą teorye socyalne najświeższego kroju, tylko co z pieca i gardłował za nimi. Sam się opowiadał przyjacielem od serca Mazziniego i wielu innych znakomości jaskrawej barwy. W przedmiocie socyologii miał niepospolitą erudycyą i zasady krańcowe. Zresztą w ideach, które głosił, ścisłej logiki, ciągu pewnego trudno było dopatrzeć, dosyć mu było gdy teorya świeciła nowością a szła daleko, aby ję przyklaskiwał.

Charakteru zdawał się niezmiernie otworzystego, wygadywał się na pozór ze wszystkim co miał, o sobie tylko milczał. Z tego co mu się kiedy niekiedy, pod naciskiem pytań niedyskretnych wyslizgnęło, nic nie można było wyciągnąć, nawet ułamki te zbliżone do siebie nie schodziły się.

Ale, człek był miły, choć go do rany przyłożyć, dla kobiet galant i nie przebierający w nich, do kieliszka gotowy choćby o północy, do wszelakiej zabawy na promotora niezrównany.

Ci co mieli zręczność widywać lub słysząc o nim od kół arystokratycznych, w których rad się obracał, powiadali, że tam, nadzwyczaj sprytnie, grał rolę zupełnie odmienną i silnie napiętnowaną konserwatyżmem, ale co komu innemu za złyby poczytano, jemu uchodziło jako doskonałemu filutowi, który w pole miał wyprowadzać możnych...

Nadzwyczajna ciekawość cechowała pana Henryka. Jakby zadaniem jego życia było wszystko wiedzieć, podsłuchać, znać każdego, wsunąć się wszędzie, nie opuszczał żadnej zręczności robienia nowych znajomości i inicjowania się w nowe stosunki. Dostyc powiedzieć że był w przyjaźni z Wasyljewem, a wszędzie gdzie mieszkał z każdym z gospodarzy w najpoufalszej zażyłości...

Nie było rzeczy, którejby sobie opowiadać nie kazał, choćby na pozór najmniejszej nie miała wagi, zaciekawiała go lada drobnostka.

Pamięć też miał nadzwyczajną, a choć nazwiska źle wymawiał, dość mu było raz widzieć człowieka i dowiedzieć się coś o nim, aby go sobie przypomnieć.

Powiedzieliśmy, że pan Henryk wchodził z młodym Tardziakiem, bardzo ładnym chłopaczkiem, z którym był w szczególnej zażyłości, gdy właśnie imię Zoni wymawiano.

Widował on ją zdaleka i był jednym z najzapałeńszych czcicieli jej wdzięków i charakteru niepodległego; docisnąć się jednak do niej dotąd nie zdołał.

Nie nazywał ją nigdy inaczej, jak „*la belle Titania!*“

— No cóż o pięknej Titanii nowego? zawołał zaraz.



— Nowego nic, stare żale nad tem, że dla nas jest tak jak stracona, rzekł ktoś.

— A! a cóż się z nią stało? zapytał milczący dotąd Euzebjusz.

— Siedzi zamknięta od kilku miesięcy, prawie jój nie widać, począł jeden z tęsknych wielbicieli. Zmieniła się bardzo, a temu wszystkiemu winien ten Ewaryst.

— Co? Ewaryst? zapytał Komnacki. Chyba jako krewny namówił ją do zmiany życia.

Zaczęto się śmiać i ramionami ruszać.

— Cóż nie wiesz, że się szalenie w sobie kochają, że po całych dniach są z sobą, chodzą, jeżdżą razem, zdaje się, że nawet w jednym domu mieszkają, on na dole a ona na górze, kto tam z nich kogo opanował, powieździeć trudno, ale z charakteru Zoni wnosząc, ona kuzynka musiała wziąć za głowę...

— Ewaryst! zawołał Euzebjusz, ale to niepodobieństwo, prawda, że nam znikł nagle z oczów, że nie bywa nigdzie, lecz byłem pewny, że się gotuje do egzaminów.

— Ani o nich myśli! przerwano.

— On! tak poważny! tak surowy, nie, wołał Komnacki, to coś innego być musi, wy go nie rozumiecie, ja go znam.

Śmieli się otaczający.

— Cóż? przyszła kreska na Matyska, rzekł jeden. Ludzie tego temperamentu co on nie szaleją łatwo, ale raz puściwszy się diabelskiego tańca, gotowi do zdechu...

— Widzieliście Ewarysta jak wygląda, rzekł Zorjan, to skielet, tak wynędzniał ale ja, panowie

moi, nie dziwuję mu się, bo Zonia, w której do dzisiaj jestem rozkochany, rozbroiłaby ascetę... To szatan czy anioł, nie wiem, a pewno niepospolita istota z gliny naszej ulepiona.

— Ma słuszość! słowo honoru! ma zupełną słuszość, dodał gorąco p. Henryk, ja ją wielbiłem zdaleka, bo teraz się do niej zbliżyć niepodobna, ale oświadczam, że takiego uroku, takiego wzroku, takiego coś ponętnego, porywającego jak ona ma, w całym świecie nie widziałem; mogę się pochwalić, że co do kobiet najrozleglejsze studia czyniłem nad niemi, niemal po całym świecie, ale ani nasze artezjenki, ani rzymskie transteweranki trzynastoletnie, ani gruzinki, ani jasnowłose córki albiou... Każda w swoim rodzaju piękna, z nią się mierzyć nie mogą!! To coś idealnego.

— Idealnego, zawołał jeden ze starych wielbieli, chociaż ona wcale na anioła nie pozuje, ale na zucha, którego szorstkość czasem grozą przejmuj! Ba! dodał, to wszystko nic jeszcze, widzieć ją zdala, fraszka, słyszeć ją i widzieć razem, gdy ją szlachetny zapal ogarnia, gdy oczy się jej zaiskrzą, gdy stanie jak Juno zbrojna, straszna, niezwyknięta, padać trzeba na kolana.

— Saperlotte! przerwał Francuz, dużoby można dać, aby się móżdż choć zbliżyć do niej.

— E! dawniej nie było nic łatwiejszego, rzekł Zorjan kwaśno, teraz nie wiadomo, co się jej stało.

— Jak to, nie wiadomo? Zakochała się w Ewaryście, on w niej, i nie dałbym złamanego szeląga, że się pobiorą.

— A naówczas, wtrącił szydersko p. d'Estompelles, znajomość będzie łatwa!!

Zaczęto się uśmiechać.

— Żeby się miał z nią ożenić, to wątpię, zaprzeczył jeden.

— Dla czego? spytał Zorjan, ona poprowadzić może człowieka gdzie zechce, czy do ołtarza i ślubu, czy do rzeki i na śmierć!

— I ja wątpię, ażeby się Ewaryst mógł z nią ożenić, rzekł Euzebjusz. Znam rodzinę, matka by się sprzeciwiła... Cała przeszłość tej biednej Zoni.

— W tej przeszłości nie ma znowu nic takiego, stanął w obronie któryś.

Zaczęto się sprzeczać, za i przeciw, niektórzy uniewinniali, ubolewali drudzy. Francuz pocieszenie ze złożonymi rękami objawiał życzenie, aby za mąż poszła co prędzej i męża sprzykrzyła.

— Co jest nieuchronnem w kobiecie tego charakteru, dodał, bo słyszałem, że człowiek, którego wybrała, ma być zimny, *terre à terre*, pospolity.

— Bardzo przepraszam, przerwał Euzebjusz, człowiek to i z charakterem, i ze zdolnościami i z nauką, nietylko nie pospolity, lecz jeden z najgodniejszych poszanowania, jakich mi się spotkać w życiu trafiło, ale zarazem skromny i umiarkowany.

Francuz się skrzywił.

— Jest to cnota *negative*, dodał, ja ją mało cenię, gdy z garnka nie kipi i nie pryska, mało w garnku...

— A garnek, z którego kipi i tryska, najczęściej, rzekł Komnacki, wyszumi pianą pustą co miał w sobie, na ziemię!

To mówiąc wstał, wziął za kapelusz i pokłoniwszy się, wyszedł.

— Pedant zarozumiały! rzucił ktoś za nim.

— Ci, co się tak zapinają mocno, rzekł Francuz, najczęściej albo bieliznę mają brudną, lub żadną.

Rozmowa przeszła zaraz na fraszki.

Komnacki, który szczerze kochał Ewarysta, zmartwił się wiadomością o nim. Nie mogła ona zupełnie być zmyśloną, lecz pocieszał się tém, że przesadzona być musiała. Bądź co bądź postanowił pójść do niego, mówić z nim otwarcie i przekonać się jak rzeczy stały.

W dawném mieszkaniu Chorążycy dowiedział się tylko, że je opuścił i wyniósł się do domu, który mu wskazano. Poszedł tam natychmiast.

Nie zastał go w domu. Naiwny sługa powiedział mu.

— Pan na górze.

— Prędko wróci?

— Nie wiem, proszę pana, bo, bo on tam ciągle prawie siedzi. Jeżeli interes jaki jest, mogę prosić.

Po namyśle Euzebjusz, zgodził się na to, prawie w téjże chwili zszedł Ewaryst.

Przyjaciel znalazł go zmienionym tak, że ledwie potrafił ukryć swe zdumienie. Twarz miał schudzoną i wyżółkłą, oczy zapadłe i czarno obwiedzione, znużenie jakieś malowało się na całym obliczu, niepokój w wejrzeniu. smutek na czole. Zestarzenie zawczesne chorobliwe tak uderzało, iż witając go nie mógł się wstrzymać od zapytania.

— Nie jesteś chory?

— Chory nie jestem, odparł Chorążyc, lecz i zdrów bardzo się nie czuję.

— Jesteś zmieniony trochę.

— Sam to widzę! westchnął Ewaryst.

— Możesz się zamęczyć przygotowaniem do egzaminów? pytał Komnacki.

Uśmiechnął się gorzko Ewaryst.

— Gdzie tam! rzekł cicho, wcalem o nich nie myślał, nie wiem co będzie z nimi.

Spojrzeni na siebie.

— Spodziewam się, odezwał Euzebjusz, iż wierzysz w przyjaźń moją dla siebie. Nie bierz mi za złe, że w imię jęj rzucę niedyskretne pytanie? Co się z tobą dzieje? Chodzą wieści dziwne, tak dziwne, że ja im wierzyć nie chcę. Strwożony tu przyszedłem.

— Cóż mówią? co? zapytał niespokojnie Chorążyc.

— Nie będę tał, ciągnął dalej Euzebjusz, powiadają, że wpadłeś w sidła kobiety, która cię opanowała. Znalismy ją po trosze wszyscy jako gwałtownego charakteru, dziwną, niepomiarkowaną. Nie chce mi się wierzyć, abys ty mógł sympatyzować z istotą tak różną od ciebie, nad której dziwactwami sam przedemną niedawno ubolewałeś.

Komnacki skończył, Chorążyc długo siedział namyślając się nad odpowiedzią.

— To, co się stało ze mną, dla mnie samego jest czems niepojętém, rzekł Ewaryst. Przyznam ci się najprzód, zem się w niej zakochał namiętnie na pierwsze wejrzenie. Przyczyna dla mnie ukryta, namiętności nigdy racjonalnie niepodobna wytłómaczyć. Walczyłem z sobą, zwyciężyłem się, a na ostatku gdy w chwili, nie wiem jak ją oznaczyć, litości czy obudzonyj sympatyj, zbliżyła się sama do mnie, zapragnęła mnie zaprządz w niewolę, poddałem się...

Dziś — związany jestem, nie władam sobą.

— Lecz z twarzy twój, ze słów nawet twoich widzę, że nie jesteś szczęśliwy.

Ewaryst zamilkł znacząco.

— Są chwile upojenia niebiańskie i straszne godziny zgryzoty, odezwał się pomilczawszy. Zonia jest naprzemiany anielską istotą i czemś zdziaczałem strasznie. Szczęście z nią staje się męczarnią. Z tych niebios biją nieustannie pioruny...

— Cóż więc dalej? zapytał Euzebjusz.

— Albo myślisz, że ja wiem? odparł Chorążyc. Jestem w położeniu najokropniejszym. Matka nakazuje mi, błaga o powrót, ja ani ją porzucić nie mam siły, ani tam zawieść. Na to ona sama zgodzić się nie chce...

Z dnia na dzień, bez obmyślanego jutra żyję gorączkowo...

— A ona? zapytał Komnacki...

Chorążyc spuścił oczy.

— Któż tę istotę zrozumieć, rzekł. żyje tak jakby jutra nie miała, nie wierzyła w nie i całe chciała pochłonąć jedném tchnieniem. Ten stan, w jakim ja i ona znajdujemy się, nie może się określić chyba gorączką...

— A wszystkie gorączki zabijają — dodał Komnacki.

— I najczęściej są nieuleczone, zakończył Ewaryst...

Milczeli oba. Chorążyc nie śmiał na przyjaciela oczów podnieść...

— Lekarstwa jednak szukać potrzeba, wtrącił Euzebjusz.

Smutną rezygnacją, jakby przyjętą pokutę za grzechy, widać było w rysach zmęczonych Ewarysta, obudzał litość tém poddaniem się losowi, przeciw któremu uznawał się bezsilnym. Komnacki czuł się w obowiązku odwołać się w tej sprawie do rozumu.

— Nie będę ci czynił wymówek żeś upadł, rzekł, bo nie wiem czyby kto na twém miejscu był silniejszym, lecz szal przemija, trzeba się otrząsnąć.

— Mylisz się, szal nie przemija, ale rośnie, odpowiedział Ewaryst, a gdybym nawet ochłonął, sprawa sumienia cofać się nie dozwala. Ona mnie kocha, zawierzyła mi, nie myślała o swój przyszłości, cięży ona cała na mnie.

Nie mam wyjścia.

— Więć się ożenisz? spytał przyjaciel.

— Dla matki tego teraz uczynić nie mogę, odezwał się Ewaryst, lecz jestem gotowy!

Euzebjusz uderzył w ręce zrozpaczony.

— Jakaż rękojmia przyszłości? zawołał.

Właśnie to mówił, gdy coś zaszleściło w przedpokoju, i zaledwie czas miał wstrzymać się, Zonia weszła krokiem powolnym.

Jak Ewarysta tak ją zmienioną wielce znajdował Komnacki, ale tu metamorfoza była inną. Dzikie stworzenie, zaniedbane, przybierające charakter męzki, teraz stało się więćej kobiętą. Zonia była nierównie piękniejszą i starała się być wdzięczną, strój jój był smakowny a nawet wyszukany i malowniczy, choć jaskrawy i dziwaczny.

Życie w pełni biło z jój wejrzenia, uśmiechało się na ustach, można było pomyśleć, że cała siła, którą Ewaryst uronił, do niej przeszła i zwiększyła jeszcze

już i tak energiczny charakter. Wchodziła tu pewna siebie, jak pani, bez najmniejszego zakłopotania, spokojna, dumna, z półśmiechem szyderskim nieco, lecz wesołym razem.

— Nie przerywam? zapytała stając w progu.

Komnacki skłonił się zimno.

— Pan dawno nie byłeś u nas, dodała, tak u nas, bo zapewne wiesz, że ja i Ewaryst stanowimy parę szczęśliwą. Dla tego tak żyjemy samotni. Ja przynajmniej najmniejszej nie mam ochoty wyjść z tego życia we dwoje... Mnie w niém bardzo dobrze. Dla Ewarysta może życzylabym czasem towarzystwa, dla siebie nie potrzebuję go.

Komnacki nie odpowiadając przypatrywał się bacznie pięknej Zoni. Dla niego była to istota nowa, wyszlachetniona, złagodniała nawet, choć zawsze jeszcze na kobietę zuchwała do zbytku.

Trochę nachmurzona twarz Ewarysta kazała się domyslać Zoni, że mógł być wzięty przez przyjaciela na konfesatę. Skrzywiła się i przystępując do Chorążycy ręką pociągnęła po jego czole.

— Precz z temi zmarszczkami! zawołała. O czém że tak smutnym mówiliście panowie?

Oba zapytani milczeli.

— Mogłabym się domysleć, dodała szydersko. Przyjaciel nie mógł przenieść na sobie, by nie dać poznać Ewarystowi, że sobie okrutny kamień przywiązał do szyi.

Ruszyła ramionami.

— Przyjaciel ma słuszość, mówiła dalej, ale niech powie on, czy nie byliśmy, czy nie jesteśmy szczęśliwi. Błysk szczęścia wart coś przecie. Ja co



nie ufam jakoś nieśmiertelności, żywotom z aniołami, znajduję, że choć raz się upić, tu — godzi i trzeba... Zarzuciła mówiąc to ręce na szyję Chorążycowi, który je namiętnie całować zaczął..

Scena ta niespodziewana tak zmieszala Komnackiego. że ledwie się nie porwał uciekać. Było w niej coś tak namiętnego, że świadek zdawał się nie w miejscu. Zonia nie czuła tego wcale.

— Nie psuj pan nam naszych dni jasnych, odezwała się do stojącego, osłupiałego Euzebjusza. Skończą się one aż nadto prędko, bo wszystko się kończy.

Przyznam się panu, że najśliczniejszym końcem byłoby dla mnie teraz umrzeć, nierozczarowanej i szczęśliwej, ale los nie bywa tak litościwym, jest mściwy i zły...

Z podniesioną głową przeszła się zadumana po pokoiku, popatrzała na obu przyjaciół, zbliżyła do Ewarysta, któremu coś na ucho szepnęła i wyszła, lekko skłoniwszy głowę Komnackiemu.

Upłynęło dużo czasu nim usta otworzyć mogli.

— Muszę cię pożegnać, odezwał się Euzebjusz, ściskając z czułością przyjaciela. Byłem tu niepotrzebnym, czuję to, przyniosłem z sobą zaniepokojenie, przepraszam cię...

Chorążyc usiłował go wstrzymać jeszcze, Komnacki wyrwał się widząc, że na teraz słowa byłyby próżne..

Po wyjściu jego siedział Chorążyc w krześle długo zadumany głęboko i, spojrzawszy na zegarek, poszedł zwolna na górę. Była godzina obiadowa.

Mieszkanie Zoni dawniejsze, bo zmieniać go nie chciała, odświeżone, strojne, ubrane we wszystko co

życie uprzyjemniać może i myśl rozerwać, prawie pańską miało fizyognomią, która z małemi oknami, z dawnym pozorem tych izdebek była w sprzeczności. Ewaryst starał się o to, aby jej szczęście otoczyć blaskiem, wysłać miękko, nadać mu poezyą i wdzięk. Nie żałował nic, a że z domu nie chciał czerpać, bo się taił z tem co się tu działo, bo kłamać musiał przed matką, robił więc długi.

Liche drzewiczki osłaniały portiery, firanki okrywały okna, podłogę brzydką zalegał dywan... Sprzęty były wytworne i bogate.

Wśród tego zbytku i sama jego pani już się z nim harmonizowała; a wszystko co ją otaczało podnosiło jej wdzięk oryginalny, drażniący, upajający.

Zobaczywszy w progu Ewarysta, Zonia rzuciła książkę, którą trzymała w ręku.

— Miałeś gościa, nad którego wolałabym każdego innego. Komnacki czyni mi wrażenie rozumnej ryby... Krew musi mieć zimną jak one.

— To bardzo dobry i bardzo do mnie przywiązany człowiek, rzekł Chorążyc.

— Alboż i ryby nie są dobre? odezwała się Zonia szydersko... Trochę słabości, trochę czegoś ludzkiego, daje wdzięk i smak człowiekowi; dla tego ja mogłam oszaleć za tobą, bo w rozumnym i świętym był grzesznik pokorny...

Przyszła i znowu go objęła rękami.

— Ty bo dziś jesteś chmurą... a temu winien Komnacki. Do szczęścia nigdy nie trzeba ludzi przypuszczać, dosyć, aby na nie spojrzeli, wzrokiem je zwarzają...

Dawać do stołu! zawołała ku drzwiom. Po obiedzie sanki i w świat! Pamiętasz ten krótki przejazd nasz, tego dnia gdym ciebie porwała, gdysmy przytuleni do siebie, milczący, rozmarzeni lecieli, jakby w obłoki! a! to była chwila, którą ja... w chwili skonania przypomnę... Zapłaciła mi za życie całe. Czułam serca twego bicie. wiedziałam, żeś moim...

Chorażycowi zajaśniały oczy i twarz się rozśmiała.

— A! to była chwila. na której nazwanie w języku nie ma słowa... dodał..

Siadali do stołu. Zonia naląła wina sobie i jemu i wychyliła obciwie kieliszek, rzuciła się równie łapczywie do jedzenia i zmuszała Ewarysta. aby ją naśladował. Pił wprawdzie i ożywił się nieco, lecz jeść nie mógł. Cała burza rozbudzonych myśli czarnych wiła mu się po głowie, zawieruchą żalobną, jakieś złowrogie przepowiednie puszczykami mu hukwały...

Siebie byłby chętnie dał na ofiarę zemście losu, który nie cierpi szczęść kradzionych, ale ją!! Drżał o tę istotę nieopatrzną, upojoną, która nie widziała przed sobą przepaści.

W Zamiłowie ciągle na Chorążycy oczekiwano; matka go tłómaczyła nie śmiała przynaglać do powrotu.

— Byłoby to egoizmem, mówiła, niech siedzi póki wszystkiego nie skończy, ażeby już tam nie wracał.

Była spokojną, modliła się tylko na intencją jego, aby mu bez zbytniego wysiłku poszło wszystko szczęśliwie. List każdy stanowił tu teraz epokę, liczone czas na listy Ewarysta, oczekiwano na nie z niecierpliwością, posyłano ciągle na pocztę, a w odebranych wyczytywano więcej niż w nich było.

Chorążyc tłómaczył się niezręcznie i każde inne niż matki oko znalazłoby w tych pismach zawikłanych, łatwą do podejrzeń pobudkę.

Madzia nie będąc wcale podejrzliwą, jakimś instynktem niepokoiła się o Ewarysta. Być bardzo mogło, że, jak odgadywała, Zonia kochała się w nim potajemnie, — coś jej szeptało przecuciem smutku czegoś złego...

Wiedziała, że się kochał w Zoni, bo ona jej to śmiejąc się z niego opowiadała, lecz teraz, po tém

wszystkiem co z nią zaszło, mógł-że on ją kochać jeszcze, albo ona zbliżyć się do niego?

Było to niepodobieństwem.

Coś go tam jednak trzymało, a w listach czuć było jakby żal i srom jakiś, zdradzający się mimo woli.

Nie byłaby Madzia nigdy potrafiła nic złego na Ewarysta pomyśleć, bo w nim widziała ideał, tymczasem smutne ją czekało rozczarowanie.

W czasie pobytu w Kijowie, skazana na długie samotności godziny pani Trawcewiczowa de domo Makowska, wpadła na myśl dowiadywania się o stryjecznego brata jakiegoś, o którym słuchy chodziły, iż miał być urzędnikiem w Kijowie.

Chodząc i śledząc, po nici doszła do kłębka, znalazł się w istocie pan Krzysztof Makowski, w biurze sądu jakiegoś, nadzwyczaj lichą zajmujący posadę, stary, ubogi, brudny, sierota bez rodziny, dla którego kieliszek był jedyną konsolacją żywota.

Stryjeczni, którzy się nigdy nie znali i spotkać nie spodziewali, uradowali się sobie wzajemnie; p. Krzysztof, który o swych protoplastach zapomniał, dowiedział się o nich z ust Trawcewiczowej, a ona tak była szczęśliwa, iż miała się przed kim wygadać, że starego słuchającego cierpliwie pokochała serdecznie.

Ten tylko kto długo wszelkich związków bliższych był pozbawiony, pojmie jak oboje starzy odżyli wspólnemi wspomnieniami.

P. Krzysztof chociaż miejsce miał na oko bardzo podrzędne i choć ubogo się nosił i wydawał, a na kieliszeczek nie żałował, uciulał był jednak trochę

grosza, i po wyjeździe siostry, gdy nagle zachorował, rozporządził mieniem swém na jój korzyść.

Nigdy w świecie się nic podobnego nie spodziewała biedna wdowa i gdy nie rychło, drogą urzędową doszło ją zawiadomienie, iż po ś. p. Krzysztofie synu Wojciecha Makowskim, koleżeńskim registratorze, ma deponowane w opiece półtora tysięcy rubli i ruchomości, naprzód o mało nie omdlała, potem pojechała dać na mszę za duszę nieboszczyka, na ostatek wpadła do Zamiłowa chwalić się swém szczęściem, opowiadając, że musi natychmiast jechać do Kijowa.

Gdy po kilkogodzinnej relacji opuszczała z listami do Ewarysta dwór, Madzia wzięła ją na stronę i uściskawszy prosiła pod sekretem, aby się dowiedziała o Zonie.

— A jużciż! a jakże! dowiem się dokumentnie, niech panienska będzie spokojna.

Odbieranie z opieki pieniędzy, wyszukiwanie ruchomości, ich sprzedaż, nie były rzeczą tak łatwą jak się Trawcewiczowa spodziewała. Formalności, chodzenia, podpisywania było bez końca.

Miała więc czas, Trawcewiczowa szukać i Ewarysta i Zoni.

Tym sposobem mimo woli dowiedziała się o tém, że mieszkali w jednym domu, że byli ciągle razem, że, jak jój powiedziano, Zonia teraz opływała w dostatkach i stroiła się. Resztę odgadnąć nie było trudno, a ludzie tę parę pokazywali z uśmiechem palcami, opowiadając sobie jój dzieje.

Doszedłszy tajemnicy téj Trawcewiczowa zachorowała.

— Jezusie Nazarański! wołała, jak się jejmość nasza dowiē o tēm, umrze z desperacyi! Umrze, powiadam! Chorążyc, takie życie i to krewna, i taka szalona... i tak bez Boga i wstydu!

Jak ja tam powrócę! jak ja im w oczy spojrzę! Co powiem! Choć ty idź zaraz wskroś ziemi! Bodaj były oczy moje tych rubli nie oglądały, gdy na taką sodomę naszego panicza miały patrzeć.

Narzekaniom nie było końca. Ewaryst uląkł się języka ekonomowój i sam poszedł do niej, rumieniając się ze wstydu, prosząc upokorzony, aby matki nie martwiła i nie mówiła nic.

Przyrzekła to skłopotana stara. Trzeba było powracać nareszcie, ale zamiast wprost do Zamiłowa, ekonomowa pojechała do folwarku, w którym przebywała, ztamtąd odesłała listy, kazała powiedzieć, że chora. Obawiała się zdradzić czēmś, bodaj łzami.

Nazajutrz po powrocie, Madzia siadłszy na wózek prosty, kazała się zawieźć do niej.

Przed nią tajemnicy żadnej nie mogła, ani chciała robić Trawcewiczowa, zresztą świerzbiał ją tak język, że utrzymać go nie było sposobu.

— Panienko moja złota, krzyknęła łamiąc ręce, z czēm ja przyjechałam, com przywiozła, to wołałabym tego Kijowa nigdy nie oglądać...

Madzia przeleękła się i pierwsze słowo jēj było.

— Chorążyc!

— A tak! tak! Chorążyc! zawołała Ekonomowa.

O Chryste Panie!

-- Chory?

— A! panienko moja! lepsza by choroba była.

I strzeliła jak z procy. Co tu tacić, żyje z twoją siostrą jak mąż z żoną, bez ślubu, bez wstydu... całe miasto na to patrzy.

Ledwie słów tych dokończyła, gdy trzeba było Madzię rotować, bo padła bez zmysłów.

Co się z biednym, wstydliwym, kochającym dziewczęciem działo, gdy otworzywszy oczy przypomniała tę straszną wieść, co jej serce przebiła,— opisać niepodobna. Trawcewiczowa żałowała teraz, że jej powiedziała wszystko, a Madzia nie pojmowała jak się pokaże Chorążynie, nie zdradzając swój bóści i wstydu.

Zatrzymała się do nocy, a wróciwszy musiała udać ból głowy, aby pójść się wypłakać do łóżka. Chorążyna wprawdzie domyślała się, że nie najlepsze pewnie wiadomości o Zoni musiały być przyczyną choroby, lecz wołała o to nie badać.

Nazajutrz Madzia z wypieczonemi rumieńcami chodziła, snuła się raczej z gorączką w głowie i pierś. Myślała co począć, chcąc koniecznie jeśli nie Zonię, którą uważała za zgubioną, to Ewarysta ratować. Miłość jej dla siostry zmieniła się w oburzenie, wstręt, gniew prawie.

Zrzuciła jej ideał czysty, z podstawy jego posągowej i potłukła nielitościwa. Tego jej przebaczyć nie mogła. Za dobrodziejstwa, które doświadczała od Chorążtwa, za ich serce, wypłacić się taką niewdzięcznością! Madzia była w rozpacz. Nawykła do cichęj swęj roli posłusznego dziecięcia, które nie śmiało stąpić kroku, kierując się wolą własną, obawiała się sama siebie, nie była pewną czy godziwem będzie to co pomyśli...



Brakło jój odwagi i doświadczenia, choć czuła obowiązek. Zazdrościła zuchwalstwa siostrze, z którego ona tak zły robiła użytek.

Inne uczucia mieszały się z temi i wprawiały ją w stan niezwyčajny, który oka Chorążyny ujść nie mógł, bo Madzia nie umiała udawać i kłamać.

Na kilka jój zapytań. Co ci jest? Jesteś jakaś nie swoja? odparła rumieniąc się, pomieszana składając bólem głowy. Chorążyna poprzestała na tém.

Tymczasem dni i noce marzyła co ma zrobić. Byłaby natychmiast poleciała sama, aby wyrwać Chorążycę, zawstydzić i do opamiętania przywieźć siostrę, podróż była niepodobieństwem. Chcąc ją przedsiębrać, trzeba się było choć w części wypowiedać przed Chorążyną, zaniepokoić ją, a ona i tak już miała dosyć w życiu do zniesienia.

Z przeróżnych tych myśli, pozostała w końcu jedna, uparta, aby się poradzić poczciwego księdza Zatoki, przyjaciela domu.

Zwierzenie się przed nim, jako przed duchownym, nie pociągało za sobą żadnego niebezpieczeństwa, zresztą był on tak przywiązany do domu Dorohubów, tak zacnym a prostodusznym człowiekiem, że na złe go użyć nie mógł.

Ponieważ przyjeżdżał teraz rzadziej, a czasu miał niewiele, Madzia musiała sobie skomponować jakieś nabożeństwo, aby pojechać do niego.

Nie było w tém nic nadzwyczajnego i staruszka podejrzenia mieć żadnego nie mogła.

Do dnia wybrała się Madzia z Zamiłowa, aby trafić na mszę ranną, a po niej z kościołka poszła do plebanii.

Ks. Zatoka siadał właśnie do kawy, gdy Madzia weszła do niego. Domyślił się, że ją coś musiało niezwykłego sprowadzić.

— Mój ojciec, odezwała się całując go w rękę, przebac mi, że ci zatruję twoją ranną godzinę, przybyłam prosić o radę.

— Siadajże i śmiało, rzekł wesoło ks. Zatoka, wcale się nie spodziewając nic tak bardzo ważnego....

Madzia od łez zaczęła; ksiądz jeszcze i z łez łatwych u kobiet nie wnioskował nic wielkiego.

— Słyszałeś, ojciec, o siostrze mojej? odezwała się nareszcie ośmielając.

Do ks. Zatoki doszło coś było o płochości panienki, ale nie wiedział szczegółów.

— Zonia, dodała Madzia, wychowała się w domu, gdzie jej religijnego pokarmu brakło, rzucona była przez sieroctwo swe w świat bez opieki, zbląkała się biedna... nie potępiam jej, choć może inni jej nie przebaczą. Będąc w Kijowie patrzyłam sama na jej postępowanie, odczułam wiele, poradzić nic nie mogłam.

Madzia zarumieniła się, spuszczać oczy, nie śmiała wypowiedzieć wszystkiego.

— Teraz, dodała prędko, mam wiadomość pewną, że Chorążyc, który się nią dawniej zajmował, gdy ona owdowiała.

— Alboż za mąż wyszła? zapytał ksiądz.

Płacz na to odpowiedział, ks. Zatoka zaczął się niepokoić żywo...

— Cóż Chorążyc? co? zbałamuciła go? przerwał gorąco.

— A! ojcze! ja nie mogę powiedzieć! krzyknęła zanosząc się Madzia, żyją z sobą bez ślubu, razem, w jednym domu....

Zakryła oczy, ks. Zatoka z całych sił uderzył w swe szerokie ręce...

— Jezu miłosierny! zawołał — on, Chorążyc! A cóż to będzie gdy się staruszka dowie — ona.

Pochwycił się za głowę.

— Może to plotki, przerwał, to do niego niepodobne. Stateczniejszego młodzieńca niespotkałem w życiu!

— Wiadomość tę przywiozła Trawcewiczowa, odparła Madzia, niech jegomość dobrodziej wypyta się ją, jeśli chce. Mnie to mało nie zabiło.

Ona jest moją siostrą! to syn naszych dobrodziejów!

Znowu płacz mowę przerwał.

— Im dłużej to tak pozostanie, mówiła z za łez, tém gorzej, trzeba to zerwać, nim się Chorążyna dowie, nim...

Ale dokończyć nie mogła.

Ksiądz kawę swą porzuciwszy, krokiem ogromnym biegał poruszony po izdebce, coraz to ręce zalamując.

I on, choć starszy, doświadczony, w tej pierwszej chwili nie widział takiego ratunku, któryby Chorążynie mógł oszczędzić boleści i obejść się bez jęj udziału w tej sprawie.

Świeżo znękana śmiercią męża, osłabła na zdrowiu, mogła biedna staruszka paść ofiarą tego ciosu, który zawisł nad nią. Znając ją wiedział ks. Zatoka, że nawet śmierć jedyne go syna możeby ją tak nie przygniotła, jak jawny i tak wielki upadek.

Potrzeba było Chorążynę oszczędzić, ale cóż począć bez niej, w imię jakiego prawa? Człowiek, który uniesiony namiętnością nie zważał ani na srom, ani na swe obowiązki, mógłże być posłusznym głosowi obcego człowieka, radzie i prośbie przyjaciela.

Po smutnej namysłu chwili, ks. Zatoka zwrócił się do płaczącej Madzi.

— Dobrześ zrobiła, rzekł, zawiadamiając mnie o tém. Może być, że jakaś rada się znajdzie, ale w tej chwili, muszę się przyznać, że w obec tego wielkiego nieszczęścia i ja tracę głowę. Wezwę Boga na pomoc azali mi nie ześle natchnienia.

— Jakkolwiek to nad siły moje, odezwała się Madzia, choćbym się ze wstydu i bólu spalić miała, pojechałabym ratować syna moich dobrodziejów, ale jakże wyjechać?

— I na coby się to zdało, przerwał ksiądz. Siostrę byś nie nawróciła, a Chorążycą nie wybawiła. Ale Chorążyc! on! to mi się w głowie nie mieści!

Po krótkim namysle, dodał proboszcz.

— Pojechałabym ja, ba! a co tam począć? Przedemną się nie przyzna, zbędzie lada słowem.

— Przecież to jawne i tak jawne, że całe miasto patrzy na to! odezwała się Madzia. Nie kryją się wcale.

— A dawnoż się to stało? zapytał duchowny.

— Nie wiem, westchnęło dziewczę.

Na tém się skończyła zupełnie bezowocna narada, która księdza tylko, jako przyjaciela Chorążynę, wzburzyła i zgryzła. Odprawiwszy o ile mógł uspokojoną Madzię, ks. Zatoka rozbierając to, co mu powiedziała, wpadł na myśl, że wszystko plotką chyba być

musiało. Dla przekonania się pojechał tegoż dnia do Trawcewiczowój.

W ganku swojego dworku zobaczywszy gościa niebywałego stojąca ekonomowa, odgadła zaraz co go sprowadzało.

— Już mu panienka powiedziała! szepnęła sobie. Proboszcz niedługo czekając, zawołał.

— Cóżes to jéjmość za plotkę przywiozła?

Obraził tém niezmiernie de domo Makowską.

— Daj panie Boże, aby to plotka była, odezwała się prostując dumnie, tylko że, na nieszczęście, święta prawda, a ja nawet téj niewinnéj duszyczce wszystkiego tak nie opowiadałam jak mnie tam ludzie. Na co zresztą było słuchać, dosyć patrzeć. Na dole w kamienicy stoi Chorążyc, a ona na górze; a no, jako żywo, całe dni u niéj siedzi, zamknięci we dwoje romanują. Jedzą razem, jeżdżą na spacer, ani dbają o ludzi.

Już to prawda, że siostra panny naszéj do niéj nic niepodobna, bo to kozak czysty, a niczego się nie wstydzi. Żyła najprzód z tym, do którego była strzeliła raz, ten miał się z nią żenić, tymczasem i dziecko umarło i on. Wychudła była, wymizerniała, strach, a teraz, krew z mlékiem, jak łania, i co dawniej chodziła w przydeptanych trzewikach, stała się elegantką, stroi się aż strach. Chorążyc na nią tysiącami słyszę ekspensuje i w długach po uszy...

— Otóż, odezwał się ksiądz, wysłuchawszy opowiadania Trawcewiczowój, otóż prawdziwa kara Boża i plaga na dom ten pocziwy i święty. Dowie się, uchowaj Boże, Chorążyna, to ją ubije. Cóż on myśli, żenić się, czy co?

— Albo ja wiem, odparła ekonomowa. Jak się dowiedział, że ja jestem w Kijowie, a oczy przecie mam, przyszedł sam do mnie prosić, abym go nie wydała przed jejmością.

— Nie wstydził się! krzyknął proboszcz.

— A, no, już ciż, musiał wstydu zbyć w to błoto leżąc... dokończyła ekonomowa. Cóż, jegomość powie jeszcze, że ja plotki wożę. Dałam słowo, że Chorążynie nie powiem, bo i bez tego bym nie zrobiła takiego skandalu, ale Madzi nie mogłam ukryć. Toć siostra rodzona!

— Milcz że, moja pani Trawcewiczowa i dalej wiadomości tój nie puszczaj, może się nam uda wprzód zaradzić na to, niż się matka dowie.

— A komuż ja mam gadać? kureczętom moim! odparła ekonomowa. Co to tu kto u mnie bywa?

Niech jegomość pilnuje tylko, aby kto inny nie przywiózł wiadomości, bo z sąsiedztwa znajomi raz wraz jeżdżą do Kijowa, a żeby chcieli nie chcieli, to się dowiedzą. W mieście o tém bębnią.

Gdy w Zamiłowie ochraniano tak nieszczęśliwą matkę, aby do niej smutna nie doszła wiadomość, Ewaryst téż drżał myśląc nad tém, co będzie gdy się ona dowie. Czule przywiązany do niej, wiedział co ucierpi, rad był téż dla niej osłonić tajemnicą swój stosunek z Zonią, ale ona była despotyczną.

Zdawała się z niego szukać chluby, umyślnie się z nim popisywać i naprzekór Chorążycowi, czynić go jak najjawniejszym.

Życie to we dwojgu, w początku wystarczające jej, zaczynało, nawykłój do liczniejszego towarzystwa, przykrzyć się coraz bardziej.

— Jedyńy sposób obraliśmy, mówiła do Ewarysta, aby się wzajemnie jak najprędzej zbrzydzić i naprzykrzyć sobie. Siedzimy oko w oko, licząc plamy i przejadając tę naszą miłość, aby się co rychlej nią przesyć.

— Maszże jój już za wiele?

— O! nie! nigdy, nigdy, odpowiedziała Zonia, lecz ty, niewinny baranku, chłodniejszy dostaniesz zgryzot sumienia... Życie potrzeba urozmaicać jak jedzenie..

Powtarzała to ciągle, wreszcie raz dodała.

— Niepodobna długo wytrwać w takiej samotności, ja potrzebuję ludzi.

— Ale w naszym położeniu, odparł Ewaryst, kogoż mamy zapraszać, kto chce bywać.

— Jakto? w naszym położeniu, oburzyła się Zonia, nie może być piękniejsze i szlachetniejsze nad nasze, kochamy się niezważając na świat i ludzi, wbrew wszystkim legalnym przeszkodom, odważnie... nie mamy się czego wstydzić... Niech patrzą! i owszem...

Nadeszła wiosna, Zonia w domu usiedzieć nie chciała, nie mogła, a idąc na przechadzkę ciągnęła z sobą Ewarysta. Trafiła się, że spotykali dawnych znajomych Zoni, która ich witała i zaczepiała i ledwie Chorążyc zdołał ją wstrzymać od dłuższej z niemi rozmowy, od pociągnięcia ich za sobą przez nią.

Chwile wielkich rozczuień i zapałów przeplatały teraz często spory i wywoływane jakby na umyślnie sprzeczki, z których Chorążyc zawsze wychodził pobity.

Nie umiejąc się jój opierać, na pół z rozpacz, pół z rezygnacyi przystawał na co chciała. Jednego bardzo pięknego dnia majowego, zażądała Zonia jechać za Dniepr do jakiegoś lasku, który służył za cel dalszym

wycieczkom. Obiad został przyspieszony, konie zamówione i natychmiast po nim, znużona już samotnością z Ewarystem, Zonia kazała jechać nie bez myśli, że po drodze trafią się może znajomi.

Miała już najmocniejsze postanowienie wciągnięcia kilku przynajmniej do siebie i zmuszenia Chorążycy, aby się nie sromał i nie krył ze szczęściem, z którym ona się trochę popisywać chciała.

Miłość jej była już w tej drugiej epoce rozwoju, gdy sama sobie nie starczy i potrzebuje pokazać się ludziom.

Rachuba Zoni nie zawiodła jej, i w lasku w którym wysiedli, zastali szumną męzką majówkę na trawie z butelkami i koszykami. Chorążyc nie dozwolił się zbliżyć do widocznie już bardzo podweselonych panów, lecz kilku z nich, a między nimi i pan Henryk d'Estompelles, zobaczywszy tę, którą nazywali Tytanią, chwycili kieliszki i pobiegli naprzeciw wypić jej zdrowie.

Francuza nieraz już spotykała Zonia, zawsze zapatrzonego w nią z wyrazem zachwytu, ścigającego ją oczyma gorącemi. Choć rozmiłowana w Chorążycu, nie mogła być na to obojętną. Francuz niezmierną swą śmiałością wielce jej się podobał. Każde zachwalstwo było jej sympatycznem.

O ile Chorążyc tym toastem na cześć Zoni był oburzony i zmieszany, o tyle ona, może trochę na przekorę jemu, przyjęła go wesoło, wdzięcznie i gdy drudzy panowie powrócili do swego kółka, wstrzymała Francuza rozmową bardzo żywą.

Pan Henryk jakby wiedział w co grać, by łaski pięknej Tytanii pozyskać, uderzył zaraz w teorye



społeczne najskrajniejsze, w krytykę stanu obecnego dowcipną choć z komunałów złożoną.

Zonia pomagała mu do niej serdecznie, gorąco. Po długim osamotnieniu ten powrót do swojego żywiołu nabierał dla niej nowego smaku.

Nie pytając Chorążycą, w obec niego, odezwała się do Francuza, podając mu rączkę, która teraz była zawsze starannie bardzo rękawiczką paryzką okryta.

— Proszę pana, abys nas odwiedził, Ewaryście, dodała, połącz swoje prośby z mojami..

Chorążyc ledwie słów kilka zamruczał, lecz te były dostateczne dla p. Henryka, aby się czuł już upoważnionym do oddania wizyty.

W Ewaryście budził ten awanturnik i blagier wstręt niewypowiedziany. Zonia znajdowała go niezmiernie zabawnym, dowcipnym, czytany, a co u niej szło przedewszystkiém, śmiałych i gorących przekonań.

— Jesteś chyba zazdrosny, wołała śmiejąc się, bo niepodobna Francuzowi odmówić znakomitych darów umysłu. Z nim się czuje jakby od cywilizowanego świata, powietrze inne, zdrowe zawiąło na zgnilizny nasze.

P. d'Estompelles nie czekając dłużej zaraz nazajutrz przyszedł do Ewarysta i upomniał się, aby go zaprowadził do pani, nie można mu odmówić było. Zonia jakby się odwiedzin tych spodziewała, była bardzo starannie ubraną i przyjęła go z niezwykłą sobie kokieterią.

Chorążyc stał trochę milczący na boku, gdy najgorętsza rozmowa zawiązała się między p. Henrykiem a Zonią. Zdawało się, że na ten występ Fran-

cuz cały swój zapas wiadomości, konceptów, teorematów i aforyzmów wyczerpał. Mówił z gorącością wielką, a dla dodania powagi swym słowom, nieustannie przywodził imiona i zdania swych znakomitych przyjaciół Anglików, Włochów i Francuzów.

Z nimi wszystkimi, dawał do zrozumienia jasno, był we wspólności idei, byli to jego „intimes“, nazywał ich po imieniu, zdradzał się z najbliższymi stosunkami. Ludzi tych, których Zonia z zachwytem książki czytała, on był powiernikiem i bratem. Olśniewał ją tém i gdy po nadto przedłużonej wizycie wyszedł, Zonia zawołała, że jest nim zachwycona.

Przykro to podziałało na Ewarysta, który nie ukrywał wzruszenia.

Zonia rzuciła mu się na szyję.

— A! ty zazdrośniku, zawołała, nie obawiajże się, abym go pokochała. Wprawdzie doskonale rozumiem, że dwóch naraz kochać można, gdy przedstawiają dwa różne a pokrewne nam typy, ale on mnie tylko bawi, a ty, ja ciebie potrzebuję jak chleba i powietrza!

Francuz raz otrzymawszy prawo bywania w tym domu, korzystał z niego z natrętnością, na której znaczeniu omylić się nie było podobna. Był zakochany, wybierał z ręcznie godziny, gdy Ewarysta nie było w domu i zasiadał godzinami na górze. Można było posądzić nawet Zonię, że mu ta ułatwiała pewnymi wskazówkami.

A jednak, kochała Ewarysta! była do niego namiętnie przywiązana, ale miłość Francuza pochlebiała jej i Francuz z całym swym dowcipem, zręcznością

i błagą umysłowo był od niej niższym, gdy w Ewaryście, milczącym i posłusznym nawet, czuła opór jakiegś siły nie dającój się zwyciężyć.

Francuzem rzucała jak piłką...

Każdą jej myśl najzuchwalszą, którą Ewaryst zbywał milczeniem, p. Henryk podnosił, wychwalał, rozjaśniał, zachwycił się nią. Chorążyc był kochankiem, ten czcicielem i bałwochwalcą.

Jednego dnia pan d'Estompelles zastawszy ją samą, ośmielił się wręście do tego stopnia, że padłszy na kolana, wyznał jej najgorętszą miłość swoją.

Zonia porwała się z miejsca śmiejąc.

— Wstawaj pan! zawołała, nie bądź śmiesznym. Ja Ewarysta kocham i nie zdradzę go, bo bym miała wzgardę dla siebie. Jestem wolna, mogę sobą rozporządzić, gdybym go kochać przestała.

Tu zatrzymała się nieco, jakby jej przyszła myśl jakaś.

— Kochasz się pan? spytała go zamyślona. No, miéjże cierpliwość czekać? Kto wie? Ja pana lubię, może się złożą tak okoliczności!...

Niezmiernie zdziwiony niespodzianym tym zwrotem, Francuz rozplynał się w wyrazach wdzięczności.

— Cicho! dosyć! siadaj pan, przerwała Zonia, do tego wypadku, o którym uczyniłam wzmiankę, może bardzo daleko, może nigdy się tak nie złoży... Ale, jeśli kochasz, dajże dowód czekając, kto wie?

Czekać i kochać jest wielką rozkoszą! dodała ironicznie, ja sama tego doświadczyłam na sobie, gdym się w Ewaryście zakochała...

Natychmiast piękna Tytania zwróciła rozmowę na inny przedmiot, wpadła na nowy ustrój społeczny, na reorganizacyą małżeństwa i rodziny według zasad nowych i nie dała już Francuzowi mówić o miłości. Na pożegnanie pozwoliła mu ucałować swą rękę i uścisnąć.

— Zatem każesz mi pani czekać? dajesz nadzieję? zawołał p. d'Estompelles.

— Zrozumiejmy się, dodała Zonia, patrząc mu w oczy. Ja kocham szalenie Ewarysta, wątpię, bym w życiu drugi raz kochać mogła, ale może przyjsz chwila, chwila przesytu, fantazyi, naówczas...

D'Estompelles jako Francuz więcej w tém wyznaniu czytał niż było napisano, trzymając się téj teoryi, że kobiety tylko przez pół to mówią co czują, wyszedł więc uszczęśliwiony.

Gdy w godzin kilka Chorążyc wrócił, Zonia mu się rzuciła na szyję.

— Wiesz! wiesz! krzyknęła ze śmiechem. D'Estompelles tu był i padłszy na kolana oświadczył mi miłość swoją?

Chorążyc się namarszczył strasznie.

— Powinnaś mu była drzwi pokazać! zawołał.

— Wstydźże się, dla czego? kochać się wolno każdemu, bo to uczucie bezwiedne, przymusowe. Cóż on temu winien, że się we mnie kocha, albo ja, że w tobie zakochana? Pośmiałam się z niego, ale nie myślę dla tego tracić gościa, który mnie bawi. .

A postrzegłszy, że Ewaryst stoi nadąsany, dodała.

— Słuchaj ty! Powinieneś wiedzieć, że Zonia nie zdradzi nigdy, bo zdrada jest tchórzostwem i podłością, a ja mam odwagę i cześć godności mojej. Tego dnia gdy kochać przestanę ciebie, a pokocham innego powiem ci to głośno, tak, jak teraz mówię.

Niech dają do stołu!

---

Całe sąsiedztwo Zamiłowa wiedziało już o przy-  
czynie, dla której Chorążyc przedłużał tak pobyt  
swój w Kijowie, jedna matka nic się nie domysłała.  
Z dobrą wiarą w to co do niej pisał, aby ociąganie się  
wytlómaczyć, powtarzała nieraz przed sąsiadkami ja-  
kie go tam różne trudności trzymały, a panie litości-  
we, spuszczały oczy i słuchały w milczeniu.

Biednej matki przeznaczeniem było zostać rażo-  
ną jak od pioruna wiadomością, do której wcale nie  
była przygotowaną.

Ewaryst, obawiając się żądać zbyt wiele pie-  
niędzy z domu, aby na nadzwyczajne swe wydatki  
nie zwrócić uwagi i podejrzeń nie obudzić, pożyczał  
jakeśmy mówili u lichwiarzy i robił długi.

Zonia nawykłszy do zbytku i życia kosztowne-  
go, wcale się z pieniędzmi obchodzić nie umiała;  
fantazje jej, często krótko trwałe, bywały bardzo  
drogie.

Głównym dostarczycielem pieniędzy Chorąży-  
cowi był niejaki Lejzor Cudnowski, często jeżdżący  
do Kijowa i chciwie wyzyskujący zręczność zarobko-  
wania.

Nie mogło mu się to jednak pomieścić w głowie, dla czego Chorążyc, tak zamożny, innego kredytu nie miał i wysokie opłacał procenta. Niepokoiło go to... Przyszedł naostatek do fałszywego przekonania, że interesa Zamiłowskie źle stać musiały, że nieboszczyka zbyt szacowano wysoko, i że kapitał jego pożyczony synowi mógł być w niebezpieczeństwie.

W dodatku pieniądze na jakąś spekulacją były mu pilno potrzebne, począł się upominać natarczynie. Ewaryst oddać nie mógł, ofiarował procenta podnieść. Lejzor się przestraszył.

Gdy ani prośby, ani groźby, ani nalegania nie pomogły, postanowił udać się do Chorążyny.

Nic o tém nie mówiąc Ewarystowi, zmilczawszy, ruszył do Zamiłowa. Człowiek był zapalczywy niezmiernie, a gdy szło o pieniądze, bez względu na nic w świecie.

Jednego dnia oznajmiono Chorążynie, że Lejzor Cudnowski, którego ona nie знаła wcale, potrzebuje pilno mówić z nią w interesie. Zdziwiona staruszka wyszła spokojnie do sali jadalnej, w której Lejzor stał już niecierpliwie się nawet tą małą zwłoką jakiej doznał, czekając na nią.

Palił go już niepokój o swój kapitał.

— Jestem Lejzor Cudnowski, rzekł kłaniając się, tonem bardzo śmiałym i głośno. Pani Chorążyna mnie nie zna, ale ja panu Chorążycowi służyłem na jego żądanie, mam z nim rachunki znaczne, pieniędzy odebrać nie mogę, muszę się do jasnie pani obrócić.

Chorążyna z podziwienia krzyknęła.

— Co? co? pieniędzy mój syn miał potrzebować, kiedy ile chce ma leżących w domu? Cóż to jest! szachrajstwo jakieś?

Lejzor się oburzył.

— Ja nie jestem żaden taki co szachruje, zawołał, zresztą co tu gadać długo, przecie mam weksle jego ręką podpisane...

— Ale to nie może być! oburzyła się Chorążyna, weksle są chyba fałszowane. Mój syn nie potrzebował pożyczać.

Żyd na wyraz, fałszowane, rzucił się jak oparzony.

— Fałszowane! krzyknął. Co to znaczy fałszowane? Mnie tego w moim życiu nikt nigdy nie powiedział, żebym ja co fałszował! Ja nie jestem fałszerz żaden...

Ręce mu drżały, gdy pugilares rozwiązywał i usta się już zamknąć nie mogły od gniewu.

— Pan Chorążyc potrzebuje dużo na swoją kochankę, mówił jękając się, może nie chce, aby pani o tym wiedziała... Takie życie to kosztuje wiele! Co za dziw, że tyle traci!

Chorążyna nie zrozumiała z początku.

— Co pleciesz, człowiecze? zawołała.

— Tak! to ja fałszerz i plotę, ofuknął się Lejzor, i do pieniędzy moich dojsć nie mogę i jeszcze będę musiał takie słowa znosić! Co to pani nie wie, że on jak mąż z żoną żyją z panną Kapkowną, siostrą téj co jest przy pani? Toż to widzi i wie cały świat.

Chorążyna zachwiała się, chwyciła za stół i z piersi jój wyrwał się krzyk tak bolesny, że Madzia



i stara służąca wbiegły przestraszone w sam czas, aby jej nie dać upaść zemdlonej.

Lejzor przejrzał dopiero jaśniej, gdy zobaczył co się stało. Odprawiono go czekać do przedpokoju, nim Chorążyna przyjdzie do siebie.

Nie potrzebowała na to długiego czasu, niezmierną energią i siłą charakteru dźwignęły ją natychmiast. Nie uroniwszy łzy, nie powiedziawszy słowa próżnego, przeżegnała się Chorążyna i kazała zawołać żyda do sali, Madzię i sługę odprawiając. Musiała tylko usiąść w krześle, bo nogi ją utrzymać nie mogły.

Lejzor wszedł znacznie ostygły i zmieszany.

— Jaśnie pani daruje, począł.

— Co się waćpanu należy? zapytała Chorążyna, proszę o te weksle.

Żyd przystąpił do stolika i położył na nim papiéry.

— Zaraz będziesz miał wypłacone, drżącym nieco głosem dodała Chorążyna. Nie myśl waćpan, ażebyś mnie tą potwarzą swoją pierwszy o tém oznajmił, o czém ja wiedziałam dobrze. Syn mój nie ma sobie nic do wyrzucenia, ratował biedną krewną swą, a źli ludzie na niego wymyślili czernidło. Zabolało, żeś acan śmiał to przedemną powtórzyć.

— Jaśnie pani, począł Lejzor.

— Nie mamy z sobą nic do mówienia, dosyć, przerwała Chorążyna nakazująco, dosyć, ani słowa więcej.

Bierz waćpan pieniądze, a jeżeli potwarze rozgłaszać będziesz, wiedz, że znajdę środek, aby nie uszły bezkarnie.

Chciał Lejzor jeszcze raz mówić, nie dopuściła stara.

— Dość! zawołała, nie chcę slyszeé nic więcej.

Kasa była przy Chorążynie, która zawołała Madzi, dając jej klucze. Cała suma Lejzorowi należna wynosiła do sześciu tysięcy rubli.

— Przynieś mi szkatułkę, zawołała do wylęklej i domysłajacój się jakiejś katastrofy, wychowanki.

W oczach milczącego i nie śmiejącego się już odezwać Lejzora, dobyła Chorążyna zwitek zawierający kilkadziesiąt tysięcy rubli, oddzieliła z nich co było potrzeba i wzgardliwym ruchem ręki rzuciła je na stół, biorąc weksel.

— Żegnam waćpana, rzekła pokazując na drzwi.

Jeszcze raz próbował się odezwać, lecz powtórnie ręką wskazała mu wyjście.. Dopiero gdy ten świadek wyszedł, rozplakała się biedna Chorążyna; ale Madzi nie powiedziała słowa, nie poskarżyła się, milczała uparcie.

Po południu kazała wszystko przygotować do podróży, nie tłumacząc się ani dokąd, ni po co ma jechać. Z suchemi oczyma, głosem poważnym dawała dyspozycye.

— Ty nie masz potrzeby jechać, rzekła do Madzi bladój i wystraszonój, pojedzie ze mną służąca. Spodziewam się powrócić wkrótce, nie chcę byś się drogą nadaremnią męczyła.

Pocałowała ją w głowę i parę łez na nią pociekło. Nie domyślała się Chorążyna, że biedna wychowanka wiedziała wszystko i tała przed nią.

— Paniusiu droga, cicho ośmieliła się odezwać Madzia, jabym w drodze może na co się przydać mogła, albo na miejscu. Salomea nie zawsze zdrowa, często cierpi na ból głowy...

Chorążyna popatrzała na nią.

— Nie, moje dziecko, lepiej, żebyś w domu została. Wierz mi, nie pytaj!

Madzia, której strach i żal było puszczać Chorążynę samą, do nóg jej się z płaczem rzuciła.

— Droga pani moja, rzekła, nie szcędź mnie anielskiem sercem swoim. Ja wiem wszystko... jam już z tą boleścią chodziła dawno... Pozwól mi odsługiwać sobie za zdradę niewdzięcznej téj...

Popłakały się tak obie. Wahala się Chorążyna czy ją ma zabrać z sobą, chcąc jej oszczędzić jeszcze wrażeń, lecz Madzia prawie się nie dała odpędzić.

Nazajutrz rano przybył ze mszą świętą powołany ks. Zatoka i znalazł staruszkę bladą, przygnębiającą trochę, ale mężną i zrezygnowaną.

Po mszy zamknęła się z nim, chcąc mu zwierzyć się ze swém nieszczęściem.

Po pierwszych słowach, nie dając się jej rozżalać, przyjaciel domu przerwał cicho. Wiem ja już wszystko, nie krwaw pani sobie serca; wiem, płacząc i modlę się... Bóg da, że duszę uratujecie...

Chorążyna potrząsała głową.

— Co pocznę, nie wiem jeszcze sama, rzekła. Uda mi się wyrwać z rąk téj nieszczęśliwej czy nie? Mamże naprawiając zgorzenie, namawiać go do ożenienia się z kobietą, która nigdy z godnością niewiasty, matki domu, dostojenstwa nosić nie potrafi? Wedle prawa i sumienia winienby iść do ołtarza... a jaka przyszłość?

Ks. Zatoka nic nie odpowiedział długo.

— Bóg natchnie, szepnął w końcu. Lecz będzież że pani mieć siły?

— Zaczerpnę je w miłości syna, rzekła z powagą Chorążyna. Co później się zemną stanie, Bóg jeden

wię, lecz póki nie spełnię com obowiązana, dotrzymam siły wszystkie.

— Mój ojciec, dołożyła w końcu, nadzieja w Opatrzności, że syna uratuję. Nie będzie głuchym na głos matki, powróci mi do domu, ale, niestety, choć droższy mi będzie niż kiedy, nie ten to mój już dawny Ewarystek, który nigdy na sobie plamki nie miał... Zbrukali mi go źli ludzie, abyśmy pokorniejsi byli i cnotą się chlubić nie mogli.

Imię Pańskie niech będzie błogosławione, nawet gdy karze i smaga dzieci swoje.

Smutny to był wyjazd z domu, podróż męcząca, a przybycie do Kijowa nawet mężną Chorążynę tak ucisnęło, że Madzia musiała ją najprzód położyć w łóżko, gdyż trzęsała się jakby febry dostała.

Należało teraz obmyśleć środki, jakich miała użyć Chorążyna dla odzyskania syna. Nie była jeszcze pewną czy ma go wezwać do siebie, czy narażając się na nieuchronną i przykrą scenę z Zonią, o której zuchwalstwie wiedziała, wprost wnijsć na górę w godzinie gdy Ewaryst tam się znajdował.

Położywszy w łóżko biedną trzęsącą się staruszkę, Madzia z niepokojem, który jej usiedzieć nie dawał w pokoju, z głową rozpaloną znużeniem i płaczem, wybiegła przed bramę domu zajezdnego na Padole, w którym się zatrzymali.

Był to wieczór wiosenny i co żyło korzystało z niego. Tłumy snuły się po ulicach, na które osobawialem z bólu oczyma patrzyła.

Nagle wzdrygnęła się i w pierwszej chwili chciała rzucić się nazad do bramy, gdy tuż o krok od niej stanęła Zonia, w ładnym bardzo ubraniu wiosennym,

w kapelusiku pół męzkim, który nosiła zawsze, z twarzą czerstwą i świeżą, z wesołemi oczyma i poznając siostrę, krzyknęła.

Madzi myśl przez głowę przebiegła, że może los szczęśliwy nadarzył to spotkanie, ażeby Chorążynie oszczędzić strapienia.

Pozostała więc, ostrém wejrzeniem mierząc Zonię. Ta przyszła ku niej niezmiészana wcale i położyła jej rękę na ramieniu.

— Madzia? a ty tu co robisz?

— Ja? odpowiedziało dziewczę z oburzeniem w głowie, jabym powinna cię pytać, niewdzięczna i niedobra Zoniu, co ty robisz? Coś zrobiła?

— Ja! odparła Zonia, dumnie wykrzywiając usta, powiem ci co robię, kochamy się z Ewarystem, a żyjemy z nim jak mąż z żoną. Jeśli myślisz, że przybywając tu, czy ty, czy ktokolwiek inny zerwiecie to małżeństwo serca i dusz, to się mylicie. Ewaryst nie da się oderwać odemnie, a ja go nie puszcze...

— Takżeś już wstyd wszelki straciła! krzyknęła Madzia!

— Wstyd? Nie rozumiem czego się mam wstydić, zawołała Zonia. Wstydem byłoby oddać się nie kochając, ale my się kochamy!

Madzia zakryła oczy, Zoni się źrenice zaiskrzyły.

— O, ja wiem — ciągnęła dalej szydersko, ty byś chciała nas rozłączyć, bo ty sama się w nim kochasz, a pokorna, cnotliwa, pobożna wychowanka Chorążyniej, spodziewasz się imienia małżonki. Wybije to sobie z głowy.

Nie miała słów na odpowiedź Madzia, tylko wykrzyk zgrozy.

— Ja dawno znam, czuję tę twoją miłość dla niego, dodała Zonia, cóż z tego. On cię nie kochał i nie kocha! Poszukaj sobie innego...

— Zoniu, ty tracisz zmysły, przerwała wręście Madzia. Bogiem się świadczę, nie myślałam, ani marzyłam o takim związku, nigdy się go nie czuła godną. Zlituj się nie nademną, ja zniosę wszystko, ale nad matką nieszczęśliwą.

— A? czy i ta przyjechała! zapytała żywo Zonia, aby mi zrobić scenę!

Madzia zamilkła.

— Bardzo dobrze, dokończyła Zonia, nie będę jęj unikała, i owszem! Czekam! Staniemy z sobą oko w oko. Bądź pewna, że nie ucieknę, że się nie zawstydzę, że nie uczynię nic, aby się pozbawić tak dramatycznego epizodu w życiu mojem.

Madzia osłupiała.

— Zaklinam cię, zawołała odciągając ją na stronę, oszczędź tej biédnej pani mojej chwilę okropną, której może nie przeżyje. Oznajmij Ewarystowi, skryj się, któż wie? może Chorążyna da się przebłagać i ja nie wiem! on się może ożenić z tobą.

Zonia słuchała z ciekawością naprzemian gniewną i szyderską.

— Ja nie myślę ani przebłagiwać, bo się czuję niewinną, ani się kryć, ani upokarzać, ani prosić. Co do ożenienia, kwestya czy jabym mu się poddała!

Wyście ludzie z innego świata, ja jestem pogan-ka i swobodne dziecko natury...

Zatrzymała się nieco i zapytała żywo.

— Więc jest Chorążyna? mów!

Madzia głową dała znak potwierdzający.

— Więc bardzo dobrze, raz się to wyjaśni i rozwiąże. Nie cierpię ukrywania się i tajemnic, to niegodne człowieka co się szanuje.

Zawróciła się, uśmiechnęła wzgardliwie, patrząc na przerażoną siostrę i nie żegnając ją odeszła prędkim krokiem.

Patrząc na nią łatwo rozpoznać było, że zamyśliła się głęboko, potrącali ją przechodnie, zaczęła się o otwarte drzwi sklepów, szła krokiem nierównym. Prędko ten pochód ustał nagle pod naciskiem myśli nowój, zwolniła chodu, poczęła się oglądać jakby szukała kogoś. Nastreczył się jej zdala idący Komnacki, który chciał ją pominąć niepostrzeżony, ale skinęła nań, aby się przybliżył i czekała...

— Mój Ewaryst się nudzi i tęskni za panem, odezwała się łagodnie, przyjdźże pan kiedy do nas, a jeżeli ja nie jestem w łaskach, to do niego. Na przykład jutro rano. Mam pewne powody, dla których życzyłabym sobie bytności pańskiej i bardzo o nią proszę. Nie dla siebie, dodała, ale dla Ewarysta. Przyjdźże pan, bądź łaskaw.

Nie mógł się oprzeć żądaniu pan Euzebjusz, skłonił się i zamruczał, że służyć będzie.

Zonia szła dalej powolnym krokiem ciągle i, zamiast obrać najprostszą drogę do domu, wybierała widocznie ulicę, na których najwięcej osób spotkać się spodziewała.

Zobaczyła Zorjana, do którego teraz rzadko raczyła słowo przemówić, i ten nie śmiał się nawet zbliżyć do niej, dała mu znak, aby przyszedł.

— Cóż to pan tak z wielkiej miłości dla mnie przeszedłeś do nienawiści, czy co? poczęła.

— Ja! a toż zkąd wniosek? odparł Zorjan zdziwiony.

— Przecież mógłbyś się kiedy pokazać u nas, odezwała się. Wiem to, że z Ewarystem nie macie stosunków i nie lubicie się, ale ja nie jestem obowiązana koniecznie podzielać jego fantazyi. Ja potrzebuję ludzi i towarzystwa, możesz czasem przyjść do mnie.

— A! Zoniu! pochwyił w uniesieniu młodzień-  
czem zapaleczywy Zorjan, który wzdychał do przy-  
wrócenia dawnych stosunków. Zoniu! pozwól mi się  
tém dawném imieniem nazywać!! gdybyś знаła serce  
moje i gorącość téj pogardzonej miłości, dawno byś  
się trochę ulitowała nademną.

— O miłości nie ma mowy, przerwała Zonia,  
był czas, zem cię lubiła i myślała, że kochać będę,  
ale nie wiedziałam, że przeszedłeś na wiarę turecką  
i że po kilka na raz sułtanek uszczęśliwiasz... Ja zaś  
z nikim serca podzielać nie umiem, zbyt jestem dumna.

— To były potwarze! zaklął się uderzając  
w piersi Zorjan.

— Daj pokój! to była natura twoja, z którą ja  
walczyć nie myślę; to należy do przeszłości.

Dla tego przyjść na gawędę do mnie możesz.  
Wiész co? jutro? na górę do mnie wprost. dobrze?

— Królowo! aniele! krzyknął zachwycony Zo-  
rjan, pójdę! gdzie rozkażesz, w ogień. w wodę!

Uśmiechnęła się z politowaniem.

— Na takie próby tak ładnego chłopaka nara-  
żać nie myślę, rzekła, Kijowskie czarownice by mnie  
zabiły.. Do widzenia, jutro rano..



Pożegnała co prędzj Zorjana, widząc nadchodzącego w dali pana Henryka d'Estompelles. Z tym była poufalej i lepiej niż z innymi, a Francuz miał wielkie nadzieje.

Zręcznie przesunęła się ku niemu na drugą stronę ulicy, i już zdala zaczęła się uśmiechać. Henryk, któremu się rzadko trafiało to szczęście spotkania jej samj, biegł naprzeciw niecierpliwj. Znak dany mu upoważniał do towarzyszenia i rozmowy.

— A! pani, co za dzień dla mnie! zawołał, pozwolisz mi zająć miejsce u swojego boku.

— A nawet z wielką przyjemnością, bo mam kilka słów, które mu chciałam powiedzieć, licząc go za przyjaciela.

— Przyjaciela! westchnął Henryk, wielbiciela! czciciela!

— Wszyscy Francuzi przesadzają, wiesz pan dla czego? odezwała się Zonia. Oto dla tego, że prawdziwego uczucia im braknie. Kochacie głowami i zmysłami nie sercem, dla tego zmagacie się na czułości, nie wiedząc miary ich i wagi.

— To niesprawiedliwość, przynajmniej co się mnie tyczy, gorąco odparł Henryk. Ja panią kocham sercem. głową, zmysłami i wszystkiemi władzami jakie mam...

— No—ale ja w ulicy oświadczeń słuchać nie mogę, odparła Zonia, odłóżmy je na później. Jeżeli wśród tych władz znajduje się możność dawania dowodów przyjaźni.

— Pani wątpisz?

— Pytam tylko.

— Ofiaruję życie jeśli trzeba, zawołał Francuz.

— Przesada, przerwała Zonia, żądam małej przysługi.

D'Estompelles zdrzął z radości, dawało mu to nadzieję.

— Słuchaj pan, poczęła Zonia, prowadząc go z sobą w uliczkę pustą, co jeszcze bardziej rozradowało Francuza. Słuchaj pan. Rodzina Ewarysta i moja zjechała się tu, aby nas rozerwać.

Francuzowi oczy z radości błysnęły.

— Wiem co sobie myślisz, przerwała głową potrząsając, sądzisz, że gdy nas rozpędzą, ja naówczas na pociechę podam panu rękę. Ale, nie! Mam w sercu Ewarysta, a teraz gdy mi grożą, że go odbiorą, kocham go jak tygrysica.

P. Henryk spuścił głowę.

— Mówiłam panu, dodała zimno, gdy przestanę kochać, możesz mieć nadzieję, inaczej nie! Pan mi powinienes usłużyć teraz, choćby mu ta służba nie smakowała.

Znacznie chłodniej Francuz wtrącił.

— O cóż to chodzi?

— Powiem panu zaraz, rozkazująco głosiła Zonia, zgóry patrząc na niego. Jutro rano, choćby nawet przed dziesiątą, będziesz się pan przechadzał nieopodal od naszego domu, mając na oku drogę od Padołu. Ma nią przybyć Chorążyna matka Ewarysta, potrzeba abys mi dał znać nim nadjedzie lub nadejdzie..

Potem przyjdiesz pan do mnie, siądziesz w salonie i nie opuścisz go dopóki ja nie pozwolę. Rozumiesz pan!

— Doskonale i zastosuję się do rozkazów literalnie, rzekł Francuz grzecznie. Szczególniej mi się podoba siedzenie w salonie.

Zonia, która z roztargnieniem go słuchała, podała mu rękę i zakończyła. A teraz idź pan swoją drogą, ja muszę jeszcze do Heljodory..

Wymknęła mu się i znikła. Pani Majstrukowa zajmowała teraz dom drewniany własny, to jest męża swojego, który dosyć będąc zazdrosny, gości nie lubił, a nawet żeńskie towarzystwo Zoni miał w podejrzeniu.

— Kobięty między sobą, mawiał, to jak farmazony, zawsze mają pełno sekretów i jedne drugim do wszystkiego złego dopomagają...

Dla spokoju domowego, pani Heljodora wyrzekała się dawnych znajomości, choć za nimi czasem wzdychała. Postarawszy nieco, lubiąc wygodne życie, które teraz miała, szanowała je i całe dni spędzała na sofce z cygaretką i książką. Zonia bywała u niej czasem, gdy mąż nie znajdował się w domu, a ona niekiedy na chwilę wpadła do niej. Z dawnej przyjaźni pozostało im dość miłe wspomnienie. Heljodora mogła przed towarzyszką swobodnych dni wydobywać ich wspomnienia.

Zonia wpadła do niej w godzinie gdy i Radzca Majstruk był w domu, który szczególny miał wstęt do młodych, pięknych elegantek. Tolerował jedną Zonię, znajdując że była szelma jak ogień sprytna. Brała go szturmem.

Spotkawszy we drzwiach, zawołała podając rękę.

— Nie pytam czy pani w domu, bo Radzca jest tak zazdrosny, że jój głowy na ulicę nie dasz wychylić.

— Ja?

— A tak! Wszak mogę na chwilkę?

— Proszę bardzo! zawołał, drzwi otwierając Radzca i wprowadzając Zonię. Zostaniecie u nas na herbacie.

— Nie mogę, mam dwa słowa do Heljodory, w moim interesie, rzekła Zonia, i leczę do domu, bo mi pilno.

— Oho! pilno! uśmiechnął się Radzca, to już interes serdeczny i niebezpieczny.

— Nie tak jak się wam zdaje, odpaliła Zonia, moje serdeczne interesa kończą się na jednym!

To mówiąc weszła do przyjaciółki, wymijając Radzcę, który pozostał w salonie.

— Wiesz, poczęła wprost wchodząc i nie witając się. Wielką wojnę mi wydaje familia. Matka Ewarysta kobieta surowa i nieubłagana zjechała z moją siostrą. Myślą niezawodnie obledz tego biedaka, mnie skonfundować i nas rozerwać. Ale — ja się też bronić będę.

Heljodora porwała się przestraszona.

— Cóż ty zrobisz?

— To już zostaw mnie, odparła Zonia; mam cię tylko prosić o jedno, wyrób to u tego tyrana twojego (wiedziała, że słuchał podedrzwiami), aby ci pozwolił jutro przyjść do mnie rano i posiedzieć. Przy obcych nie będą śmieli robić mi historyi.

— No — to cóż? zawołała Heljodora, albo my tam u ciebie możemy siedzieć załogą ciągle?

— Ja to wiem, przerwała Zonia, ale będę miała czas Ewarysta do oporu przygotować... choć na wstępie pomieszam im szyki.

Gdy to mówiła, zaciskała usta i, jak koń arabski przed bitwą, rzucała ognistym wzrokiem do koła. Nie tyle obawy było w niej widać co zapału.

Heljodora namyślała się, nie bardzo może chciała się mieszać w cudzą sprawę, Zonia ją uściślała.

— Przyjdź, proszę cię, daj mi ten dowód przyjaźni. Radzca nie będzie przeciwny.

Gruby głos podsłuchującego podedrzwiłami, na pół ze śmiechem, powtórzył za nią.

— Radzca nie będzie przeciwny, jeżeli idzie o to, aby arystokratom figla wypłatać...

— O to idzie, dodała Zonia.

Heljodora nie mogła się już opierać — przyobiegała.

Nie tracąc więcéj czasu, pocałowała ją w czoło Zonia, zawinęła się do wyjścia i we drzwiach podawszy rękę gospodarzowi, wybiegła tym razem już wprost pospieszając do domu.

Ewaryst, którego długa jéj przechadzka samotna niepokoiła, zobaczywszy ją przesuającą się pod oknem, wybiegł na spotkanie. Oddawna Zonia nie witała go z taką czulością, z takimi oznakami przywiązania jak teraz, zarzuciła mu rękę na ramię i tak prowadziła na górę.

— Stęskniłam się za tobą! zawołała.

— A gdzież bawiłaś tak długo?

— Na przechadzce najprzód, potem u Heljodory. Ta mnie zatrzymała. Jestem dziś jakaś rozmarzona, smutna, niespokojna i potrzebuję ciebie mieć przy sobie.

Weszli tak razem na górę. Zonia zrzuciła z siebie ubranie spacerowe i padła na krzesło, wskazując miejsce obok Ewarystowi, któremu w oczy patrzyła.

Nie chciała mu powiedzieć nic, a nie mogła się powstrzymać od niepokojącego wyrazu w głosie i twarzy. Obie ręce wyciągnęła ku niemu.

— Tyś mój! prawda, żeś ty mój! odezwała się namiętnie, że mi ciebie nikt odebrać nie potrafi?

Pytanie to zdziwiło bardzo Chorążyca. Ciągły niepokój, który go trapił, budził się za lada słówkiem.

— Moja Zoniu, przerwał zbliżając się ku niej, zkąd że to pytanie? Czy wiesz co? Czy się obawiasz czego?

— Ja? niczego w świecie się nie lękam oprócz jednego ciebie, odparła Zonia smutnie. Wiem, że póki będę miała twe serce, mogę polegać na niem, ale mamże ja to serce twoje? nie ostygłoż ono w piersi? Nie znużyła cię ta dziwaczna, niecierpliwa, śmieszna Zonia? nie zamęczyła cię swém kochaniem? Mów!

— Potrzebujesz że słów! rzekł z westchnieniem Ewaryst. Cóż znaczy słowo, gdy wiesz z życia naszego o tych ofiarach, które ci niosę chętnie, a które są wielkie. Zoniu! ja dla ciebie kłamię, oszukuję matkę,

dręcę się w sumieniu, a ty chcesz, abym ci powiedział, że cię Kocham!

Rzuciła mu się na szyję nie mówiąc i tak na nią zawisła zadumana, rękę Ewarysta przyciskając do ust gorących.

— O! nikt cię tak jak ja kochać nie będzie! zamruczała. Prawda, nie przyniosłam ci dziewiczego, ale uwiędłe, biedne serce, co nie rozkwitłszy zaschło...

Ale ja tamtego nie kochałam, on mnie tylko uczynił spragnioną miłości, którą całą, pierwszą wylałam na ciebie. Ani ty, ani ja już tak drugi raz w życiu kochać nie będziemy. Jeden kwiat taki rozwija się na tej suchej, kolczystej łądydze nędznego żywota...

Ciebie nikt tak kochać nie będzie, i ja nie będę tak nigdy kochaną. Jestem dumną tą miłością, bo ty wierzysz w piekło i nie wahałeś się dla mnie stanąć nad urwiskiem, w którym ono gore...

A! czemu w takiej miłości nie można dotrwać do końca...

Ewaryst chciał jej przerwać, nie dała mu się odezwać, usta zatykając ręką.

— Mam straszne jakieś przecucia, ciągnęła dalej, sama nie wiem co mi jest. Zdaje mi się, jakby mi ciebie odebrać chciano!

Spojrzała na niego, Ewaryst pobladł strasznie.

— Ty dziś masz te przecucia, odezwał się, ja z nimi żyję ciągle, ja się budzę po nocach, słysząc we śnie głos matki, postać jej widzę przed sobą ciągle! Każdy jej list przeraża mnie, nie śmiem rozłamać pieczętki.

Nie pojmuję nawet, że dotąd ktoś mnie nie oskarżył...

Przyznam ci się, że wołałbym już może przetrwać straszną godzinę, którą przeczuwam nieustannie.

— A! nie wywołuj jej, przerwała Zonia. Jesteś pewnym, że będziesz miał siłę nie zaprzecić się mnie... zobaczywszy łzy matki?

Ewaryst głowę zwiesił.

— Dosyć tego, rzekł głosem złamanym, nie mówmy o tém.

— Owszem, zbrójmy się na tę chwilę, myślmy o niej, zawołała Zonia. ja stanę mężnie, nieulekniona, choć stokroć więcej w ich oczach winna, w moich nawet, ale ty? ty?

— Ja? odezwał się Chorążyc. Nauczyłaś mnie być prawdomównym. Zoniu powiem ci więc, ja nie wiem co pocznę.

— I nie wiesz na czem skończysz! szepnęła głosem łagodnym kobieta.... Tak! masz słuszność, lepiej nie mówmy o tém... nie myślmy... Kochajmy się i korzystajmy z chwili każdej, bo wszystkie policzone...

Na oczach Zoni nigdy Ewaryst prawie łzy nie widział, zdziczała biedna płakała zawsze wewnątrz, pożerając łzy swoje, teraz z rzes toczyły się dwie krople srebrne i zbiegły po policzkach. Ewaryst całował ją w czoło. długo milczeli oboje. Nagle Zonia podniosła się, twarz rozjaśniając, plaskając w dłonie, wołając na sługi i ciągnąc za sobą Ewarysta do zastawionego stołu...



— Śliczny wieczór wiosenny! wołała, wypijemy herbatę, potem siądziemy w oknie razem i będziemy oddychać jego powietrzem, szeptać, marzyć... aż do dnia!

Ja dziś jestem ciebie spragniona, głodna, nie wypuszczę cię na chwilę!

---

Chorażyna wstała bardzo rano, nabrawszy energii, która ją na krótko opuściła; chciała być najprzód na nabożeństwie i pojechała do kościoła razem z Madzią. Ztąd miała odwieźć ją i zostawić w gospodzie, nie chcąc brać z sobą. Nabożeństwo przeciągnęło się dość długo... W chwili rozstania Madzia przylgnęła do rąk staruszki, która pocałowawszy ją w głowę zlekka odepchnęła.

— Módl się, rzekła — i czekaj na mnie.

Siły, których wczoraj zabrakło, dała staruszce wola i przekonanie obowiązku; jechała sama jedna, blada, drżąca, lecz czując, że się nie cofnie i nie da niczém sprowadzić z drogi.

Gdy powóz stanął przed domem, Francuz już był z oznajmieniem na górze. Ewaryst, znajdujący się w mieszkaniu swoim na dole, wyjrzał ale nie domyślił się matki, nie przeczuł jój. Wysiadająca Chorażyna znalazła się ze służącym sama, w niepewności czy miała iść do syna wprost, czy do Zoni.

Jeszcze się namyślała, gdy Ewaryst wyjrzał, słysząc szelest w sieni, zobaczył matkę i zachwiał się. Trwało to jedno oka mgnienie, natychmiast przybiegł do niej i zniżył się do jój kolan.

Poruszona i zmieszana staruszka, nie mówiąc nic, razem z synem weszła do jego mieszkania.

Na górze Zonia z rozpaloną twarzą stała w oczekiwaniu gorączkowym. Domysliła się, że Chorążyna wstąpić musiała do syna i ulękła się widocznie. Cała jej rachuba na świadków została w niwecz obróconą.

Ewaryst jak winowajca, z głową zwieszoną, bładny, czekał odezwania się matki, która łzy połykała.

— Przyjechałam po ciebie, poczęła Chorążyna drżącym głosem, ale bez gniewu. Każdy człowiek zbłądzić może, ale zły tylko trwa w grzechu. Poblądziłeś okrutnie, Ewaryście, czyniąc współniczką winy twojej kobietę, której winienesz był opiekę i przykład cnoty, poblądziłeś jawnością występku, zgorszeniem, nie mówię, żeś mnie serce zakrwawił, bo cóż moje znaczy — gdyś obraził Boga i prawa Jego!!

Łzy mowę jej przerwały, lecz je natychmiast otarła...

— Przyjechałam zerwać te obrzydłe, występne związki, dodała — pojedziesz ze mną.

O Zoni nie mówiła nawet. Ewaryst stał niemy.

— Im prędzej, tem lepiej — zawołała Chorążyna, bez żadnych pożegnań, tłumaczeń. Damy jej co zechce, obmyślimy los, ale ciebie ja zabieram zaraz...

Spojrzała nań.

— Matko kochana, to nad siły moje, nawet dla ciebie, ja tego uczynić nie mogę.

Wyrazy te zdały się Chorążynie dech i mowę odbierać; rękę przyłożyła do piersi, tchnęła z wysiłkiem.

— Ewaryście — przerwała, nie mów tego! nie mów! Nie poznaję w tobie syna mojego poczciwego Eliasza, ciebie samego nie poznaję. To nie twoja mowa.

Ewaryst miał czas się namysłać.

— Inny sposób widzę naprawienia zła jakie uczyniłem, odezwał się, nie godzi mi się użyć innego. Powiniennem się z nią ożenić.

— To być nie może, żywo odparła Chorążyna, kościół nie uznaje za ważne małżeństwo, które się w grzechu poczęło. Zonia jest twoją bliską krewną — nareście, dodała dumnie, nie jest to synowa dla Chorążego, ani córka dla mnie, ani żona dla ciebie, ani matka dla rodziny...

— Nie bądź okrutną, matko droga, miej litość, rzekł Ewaryst. Posłusznym ci być nie mogę, poświęcając ją — nie mogę...

— Więc kochasz tę... spytała Chorążyna łamiąc ręce.

— Kocham ją.

— I cóż to jest za miłość! wołała oburzona, sromotna! bydłęca! Ewaryście! Co się z tobą stało! O nieszczęśliwa ja! Któż mi odda syna!

Ewaryst padł jój do nóg, ale ściskając je—jęczał i powtarzał.

— Matko — ja jój opuścić nie mogę...

Tym oporem niespodziewanym Chorążyna zdawała się równie zdumiona jak pomieszana!

Zamilkła...

— Chcesz więc abym ci dała do wyboru między mną a nią, bo ja z nią nigdy nic wspólnego mieć nie będę?

Syn łamiąc ręce nie mówił słowa — blada, straszliwie ściągnięta twarz jego mówiła co się z nim działo.

Na górze Zonia stała w oczekiwaniu gorączkowym, rzucając oczyma do koła i zdając namyślać się co pocznie. Siedziała Heljodora niespokojnie spoglądając na nią, stał pan Henryk, znajdował się już Komnacki, a na wschodach słychać było idącego Zorjana.

— Heljodora, proszę cię, bądź tu gospodynią za mnie, odezwała się zmienionym głosem, ja muszę zejść do Ewarysta.

Gwałtownie otworzyła drzwi, rzuciła niemi, zbiegła pędem ze wschodów i zaczerwieniona, dysząca, z oczyma piorunującymi, nieulekniona i dumna, wtargnęła raczej niż weszła do pokoju Ewarysta. Chorążyna czuła ją nadchodzącą, Chorążyc zdretniał.

Wejrzenie, którem ją spotkał w progu, prosiło o litość nad matką. Chorążyna, która niedawno stała jeszcze przybita i płacząca, na widok Zoni, przybrała dumną i zimną postawę.

— Jestem Zofia Raczkówna, poczęła głosem podniesionym, śmiało stojąc naprzeciw Chorążynie: jestem kochańką Ewarysta i nie wstydzę się tego. Staję przed panią nie prosić o żadne przebaczenie, ale przyznać się do tego, że nie on mnie, ale ja jego uwiodłam. Tak jest, kocham go i on mnie kocha. Chcesz nas pani rozdzielić w imię religii, ja stoję przy nim w imię serca mojego i praw jakie mamy do siebie. Dla mnie religią jest natura.

Chorążyna tak była przerażoną tém wyznaniem zuchwałém, iż nierychło odpowiedziała.

— Z waćpanną ja do czynienia ani do mówienia nic nie mam, odezwała się dumnie. To jest syn mój, ja waćpanny znać nie chcę.

Odwróciła się.

— Mamo! zawołał Ewaryst.

— Milcz! — przerwała matka. Wolno téj obłąkanéj i bezwstydnéj nie znać Boga i praw Jego, nie mieć wstydu, przestać być kobiétą, ale tobie synu rodziców chrześcijańskich nie godzi się Boga, którego znałeś, wypiérać.

Zwróciła się do Zoni.

-- Ustąp waćpanna ztąd i zostaw nas samych.

— Nie pójdę na krok, zawołała Zonia, gdzie on, tam i ja. Nie związała nas żadna przysięga u ołtarza, ale ja jego a on mnie opuścić nie może...

Chorażyna z dumą na nią spojrzała.

— Ewaryście! ta kobiéta mnie ztąd wypędza!

Syn padł jéj do nóg. Zonia patrzyła na to założywszy ręce.

— Nie ustąpię, rzekła jak do siebie. Jeżeli Ewaryst chce mnie rzucić, nie bronię mu. Niech spyta sumienia swojego.

Jeszcze moment Ewaryst ścisnął nogi matki, która już, widząc że nic począć nie może, wrywała się ku drzwiom, Zonia ustąpiła jéj z drogi.

Za matką włókł się syn, stłumionym głosem powtarzając.

— Matko, ulituj się.

Chorażyna nic już nie odpowiadała, oczy jéj nawet spotkać się nie chciały ze stojącą naprzeciw Zonią, która czekała końca téj sceny, z mężstwem dziakiem, rosnącym w miarę niebezpieczeństwa.

Wyrwawszy się synowi, który za nią szedł schylony, staruszka otworzyła drzwi, drżąc i ślaniając się, słudze kazała się do powozu prowadzić. Nie odwróciła się do Ewarysta, który rękami uciskając głowę, gdy ją zobaczył odjeżdżającą, wpadł nazad do mieszkania i nie widząc Zoni rzucił się w rozpacz na krzesło.

W milczeniu zbliżyła się do niego, z pokorą.

— Ewaryście! przebaczenia! litości! męztwa, poczeka cicho.

Pierwsza, najstraszniejsza walka zwycięzko przetrwana. Uspokój się, wszystko skończone. Utułiła dłońmi głowę jego.

Chorążyc siedział jak nieprzytomny, jęki bez słów ciężkie wrywały mu się z piersi. Chciał gonić za matką, zrywał się i upadał nazad na siedzenie.

— Męztwa! powtarzała Zonia.

Lecz to męztwo, które mu natchnąć chciała, w niej samą się wyczerpywało. Pobudzała je w sobie, a ręce się jej trzęsły i lice bladło trupio...

Ewaryst ochłonął wreszcie trochę, popatrzył na Zonię z wyrazem bólesci łagodnym i wstał.

— Muszę jechać za matką, rzekł, nie obawiaj się. Wiem co ci winienem i nie opuszczę...

Zaciągnąłem obowiązki, które spełnię, będziesz żoną moją. Przebłagam matkę.

Oczy Zoni zaświeciły krótko i łzą zaszyły, potrząsała głową.

— Żoną! rzekła! wolę być kochanką — to ofiara przynajmniej...

— Nie możemy się przecie najgrawać z praw boskich i ludzkich, przerwał Ewaryst, inaczéj się to skończyć nie może i nie powinno.

Nie otrzymawszy na to odpowiedzi, Chorążyc przeszedł się po pokoju.

— Muszę jechać do matki, powtórzył — bądź spokojna.

— Jedź — krótko odparła Zonia, stanie się co przeznaczone.

Zlekka przycisnąwszy usta do jego czoła, odstąpiła od Ewarysta, jakby mu wolną chciała zostawić drogę.

— Będę czekała w trwodze twego powrotu, dodała, jedź — jam na łasce twój. Uczyni co ci się podoba....

— Zoniu! zawołał Ewaryst, zwracając się do niej, ale już była wyszła i drzwi się zamknęły za nią.

Na górze oczekiwali ją świadkowie powołani, usiłując rozpoznać z twarzy co przynosiła z sobą, Heljodora zbliżyła się do niej, lecz głową tylko poruszyła znacząco, dając jej znać, że mówić nie ma o czém i nie może...

Sprawa nie była skończoną.

Podszedłszy ku środkowi pokoju, okiem potoczyła po gościach swoich.

— Przebaczycie mi, rzekła z przymuszonym sztyderstwem, mieliście być świadkami dramatu, tymczasem artyści zawiedli...

Skłoniła się jakby ich pożegnać chciała i wszyscy zrozumiawszy, że dłużej zatrzymywac ich nie chciała, zabrali się do wyjścia.



Uśmiechnęła się do Francuza i szepnęła mu niewyraźnie.

— Możesz mi być potrzebny...

Heljodorę uścisnęła.

— Fatygowałaś się na próżno, rzekła jej, wszystko się odbyło na dole. Pani Chorążyna nie chciała sobie nóg kalać o progi moje.

— Ale jakże się skończyło?

— Pierwszy szturm odparł Ewaryst zwycięsko, mówiła z pewnym zwątpieniem Zonia, co będzie z drugim, ja nie wiem.

Ufam mu.

Potrząsała głową pani Majstrukowa, postąpiła i widząc, że już więcej nic z milczącej i pogrążonej w sobie wydobyć nie będzie mogła, pożegnała ją słowami pociechy.

— No — bądź że spokojną. Chorążyc uczciwy chłopiec, on cię tak nie porzuci... Podrożą się i pożenią was. Inaczej nie może być.

Ucałowawszy raz i drugi zamyśloną, wybiegła pani Heljodora.

Zonia usiadła w oknie, sparała się na rękę i patrzyła w ulicę, a nie widziała nic. Ogniste płatki latały jej przed oczyma. Ewaryst schwywszy pierwszą dorożkę jaka mu się nastreczyła, kazał się wieźć po gospodach, bo nie wiedział gdzie szukać matki.

Nie było ich zresztą tak wiele, aby poszukiwanie zbyt mogło zabrać czasu. Woźnica kierując się domysłem, zawiózł go tam właśnie, gdzie zdretniała w krześle Chorążynę cucila Madzia z Salomeą.

Staruszka przyjechała tak osłabła, że ją z powozu wysadzić musiano, nie odezwała się do Madzi,

a pytać jój nikt nie śmiał i nie potrzebował. Już to, że powracała sama, mówiło dosyć.

W rozpacz Madzia, łamiąc ręce, zacinając usta, aby nie dać się z nich wydobyć duszącym ją łkaniem, biegła około Chorążyniej. W myśli jój stało, że ona powinna iść i starać się siostrę skruszyć i ubłagać, aby się upokorzyła, lecz wczorajsze z nią spotkanie tak małą dawało skutku nadzieję?

Kobięty krzątały się jeszcze około Chorążyniej, która płakać zaczęła po cichu, co za szczęśliwy znak uważano, gdy Ewaryst wbiegł do pokoju.

Nie zważając na świadki, które się natychmiast cofnęły, padł do nóg staruszce. Płakał i on, nie mogąc przemówić nic, prócz nazwiska—matki!

Chorążyna nie dając się złamać przywiązaniu macierzyńskiemu, nie odpowiadała długo.

— Jeżeli mi przynosisz to czegoś od ciebie żądała, rzekła w końcu, dobrze, że posłuchałeś sumienia, otworzę ci ręce moje, jeżeli chcesz wymódl na mnie, abym błogosławiła twojemu szaleństwu—Ewarystyście, nie znasz mnie...

Pojadę sama płakać, modlić się, prosić Boga o upamiętanie twoje, — ale nie pobłażę występкови. Ojciec z grobu uznałby mnie winną i siebie niegodną. On by na to nie zezwolił nigdy — ja nie mogę...

A gdy syn milczał, dodała jeszcze.

— Rzuć tę bezwstydnice, łjedź natychmiast zemną, to moje słowo ostatnie. Zapłać jój za grzech i sromotę swą co zechce.

— Matko — przerwał Ewaryst, sądzisz ją niesprawiedliwie, bez litości. Ja jój porzucić nie mogę.

Chorążyna odtrąciła go zlekka.

— Idź że, powracaj do niej, zawołała gniewnie jeżeliś między nami dwiema wybierając, ją wolał nademnie... Idź...

Stał naprzeciw niej milczący Chorążyc i gdyby była spojrziała na niego, zmiękłoby może serce macierzyńskie, byłaby się skruszyć dała, lecz umyślnie unikała nań wejrzenia. Straszna chwila milczenia upłynęła, przerywana tylko cichém łkaniem Madzi w drugim pokoju...

Po upływie jój, Ewaryst jeszcze się schylił do nóg matki, usunęła się od niego.

— Masz do wyboru, rzekła — między mną a nią, innéj drogi nie ma. Wybieraj.

— Opuścić jój nie mogę — odezwał się syn chmurno...

Usłyszawszy to Chorążyna powstała z energiją, do której niedawno nie byłaby sił miała. Krokiem prędkim, nie odwracając się ku niemu, wyszła z pokoju.

Ewaryst słyszał jak przerywanym, ale nakazującym tonem wydawała rozkazy do wyjazdu natychmiast. Służba zaczęła posłuszna biegać i zbierać rzeczy, ściągając tłomoki, pospiesznie chwytając wszystko... Chorążyc stał sam w izbie, postanowiwszy dotrwać tu do końca. Miał jeszcze nadzieję, że matka nad nim się ulituje.

W tém po cichu zbliżyła się doń Madzia.

— Ewaryście, zawołała cicho, zlituj się, zabijasz matkę. Kocham Zonię, żałuję jój, ale ona ma siły do zniesienia nieszczęścia, w które popadła własną winą. Chorążyna! ona tego nie przeżyje!

— Madziu! ty mów za mną, za siostrą! prosź ją, zawołał Ewaryst, ja Zoni opuścić nie mogę... Byłbym podłym.

Skończyło się na płaczu. Tymczasem rzeczy już wynoszono do powozu. Konie zaprzęgano. Chorążyna słabym głosem powtarzała ciągle: Jechać! jechać! Musiano z pomocą miejscowych ludzi pozrzucać naprędce co jeszcze zostawało i staruszka się do powozu prowadzić kazała. Zobaczywszy ją wychodzącą, pobiegł Ewaryst za nią, aby, choć przy świadkach, jeszcze sięgnąć po jęj ręce. Chorążyna usunęła mu je gniewnie.

— Jechać! odezwała się ostatkiem głosu...

I powóz potoczył się, zostawując Chorążycę wśród podwórca, osłupiałego, skamieniałego z boleści. Ludzie, patrzący a nie rozumiejący co się działo, mieli tyle litości nad nim, że go do izby prawie gwałtem zaprowadzili.

Nie wiadomo jak długo byłby tu siedział, nie wiedząc co się z nim dzieje, Ewaryst, gdyby Komnacki, który niespokojny kroki jego śledził, nie wszedł i nie wdając się ani w badania żadne, ani w pocieszania naprózne, nie skłonił go do powrotu do domu. Zabrał go do dorożki i wywiózł jeszcze nieoprzytomnionego.

Tu zaledwie wszedł na dół, gdy Zonia nadbiegła z góry. Nie pytała go, wiedziała, że wracał wypiwszy dla nięj kielich goryczy do dna.

Serce jęj zakrwawiło się, patrząc na nieszczęśliwego, nie było słów na pocieszenie, milczenie mówiło wszystko.

Komnacki był tak niespokojny o stan przyjaciela, że szepnął o doktorze, Ewaryst, dosłyszawszy to, potrząsł głową.

Krótko zabawiwszy i zostawując ich samych, wyszedł pan Euzebjusz...

Reszta tego pamiętnego dnia upłynęła w pograżeniu jakięś milczącym. Zonia z rękami na piersi skrzyżowanymi chodziła po pokoju. Ewaryst siedział, ruszyć się nie mogąc. Nadeszła noc tak i oboje nie myśleli o spoczynku, aż siły się wyczerpały i sen pochwyił ich tak jak siedzieli...

Rano wymknęła się Zonia na górę, Ewaryst zwłókł się do łóżka, Komnacki przyprowadził doktora, mimo zakazu, ale ten głową potrząsłszy uznał, że on tu nic radzić nie może. Cisza straszna zaległa dom, jakby życie się zatrzymało.

Nie ma jednak boleści, któraby pierwszój gwałtowności z czasem nie postradała. W kilka dni na pozór wróciło wszystko do dawnego porządku. Na Ewaryście, który nigdy wesołym i trzpiotowatym być nie umiał, nawet w chwilach szczęścia, zachowując powagę charakterowi właściwą, nie tak wielkie było przejście téj burzy, jak na Zoni. Stała się milczącą i zamkniętą w sobie. Zbliżała się czasem do Chorążycy jakby chciała przynieść mu jakim wyrazem lub pieszczotą ulgę w smutku i cofała się. Zmarszczone czoło nosiła ciągle, a zostawszy sama godzinami jak wryta stała w jedném miejscu... Walka wewnętrzna odbywała się w jéj sercu, choć żadném słówkiem nie oznajmywała przez usta.

Gdy Ewaryst zbliżał się do niej, chcąc ją wywieść z tego pograżenia w sobie, drgała jak przestra-

szona i zlekka unikała pieszczot jego, usuwając się pod różnemi pozorami.

W rozmowach krótkich ani on, ani ona nie wspominali o tém co przeszło... Oboje starali się zatrzeć dla siebie wspomnienie dnia straszego.

Ewaryst nareście wmawiał w siebie, że matka odezwie się do niego i ulegnie konieczności, ale z Zamiłowa nie przychodziło nic.

Tydzień już upływał w niezmienionym tym stanie ducha obojga, gdy Zonia zaczęła się z niego pozornie otrząsać. Można się było dorozumiewać w niej jakiegoś postanowienia, które nowém życiem ją natchnęło...

Ewaryst nie wychodził jeszcze, ona potrzebowała ruchu, nie przyjmowała nikogo, ale parę razy wybiegała z domu na godzinę i wracała poruszona a nie spokojna. Widywał ją Komnacki chodzącą po jednej ulicy ogrodu samą, z głową spuszczoną, nie rozpoznającą tych co ją mijali. Piękna twarz jój nosiła ślady widome cierpienia, zarazem dumy i jakby gniewu na świat cały.

Jednego dnia z przechadzki weszła tak zadumana do Heljodory i siadła naprzeciw niej nic nie mówiąc.

Pani Majstrukowa parę razy zagadnęła ją o coś i nie otrzymała odpowiedzi.

— Nieznośne życie takie! zawołała nagle. Wiesz, lepiej się utopić! Raz próbowałam się otruć, a gdybym teraz znowu na inny sposób chciała się pozbyć życia, to się znajdzie jaki dobrodziej, który mnie na powrót na tortury odda...

— Co to pleciesz! odezwała się Heljodora. Nie rozumiem ciebie. Postawiłaś na swoim.

— Prawda, bardzo pięknie! rozśmiała się gorzko. A widziałaś ty Ewarysta? od czasu jak matka się z nim tak nielitościwie obeszła, jak zabity! Patrząc na niego gniew mnie porywa i rozpacz.

Cierpi dla mnie, za mnie, a ja, nic na to poradzić nie mogę.

— Przesadzasz wszystko, przerwała pocieszając pani Majstrukowa.

— Nie umiem sobie kłamać, mówiła Zonia. Na Ewarysta patrząc... szaleję. Co ten biedny człowiek winien? Jam go wciągnęła, rzuciłam mu się sama na szyję. Nie wiedziałam, że miłość zabija!

Ze spuszczoną głową poczęła chodzić po pokoju, nie słuchając oklepanych frazesów, któremi ją Heljodora pocieszać chciała. Niekiedy poruszała ramionami.

— Tyle tylko potrafili, rzekła pomilczawszy, że miłość, któraby może ostygła była, zrobili gorętszą. Ewaryst nigdy mnie może tak nie kochał, a ja...

— A ty? spytała Heljodora.

— Ja? słuchaj, krzyknęła gwałtownie, dałabym zań życie!

To mówiąc rzuciła się we drzwi i uciekła...

Stan gorączkowy trwał ciągle.

Komnacki, który się codzien tam dowiadywał, śledząc zmiany, jakich się spodziewał w Ewaryście, nie mógł zrozumieć nic oprócz tego, że się coraz mocniej do Zoni przywiązywał. Jój chłód czasami jakiś przymuszony, czasami niespodzianie zmieniał się w szalone roznamiętnienie, z którego gwałtem się wyrywała.

Z Zamiłowa nie było nic.

Nikomiu się do tego nie przyznając Ewaryst, potajemnie napisał do Madzi, żądając od niej wiadomości o zdrowiu matki.

Odpowiedzi długo nie było. Przyszła wreszcie ukradkiem pisana, polana łzami, w słowach zamknięta niewielu, po za którymi trzeba było czytać, czego wypowiedzieć nie mogła.

„Pani Chorążyna,“ pisała Madzia, „w drodze nam chorowała i po powrocie musiałyśmy po doktora Mochnackiego posyłać, bo było niedobrze.

„Teraz choć trochę jest lepiej, ale taka zmieniona, że nam się serce, patrząc, kraje. Prawie nic nie je, pół dnia się modli a płacze. Dawniej gospodarstwo i interesa zajmowały ją, teraz są jej obojętne. Gdybyś pan widział panią Chorążynę, przestraszyłbyś się i pożałował.

„Imienia pańskiego ani razu nie wymówiła, a co dawniej ciągle zaglądała do pokojów, które były dla niego przeznaczone, teraz tam jej noga nie postąpiła.“

Z listu widział Ewaryst, że się nie mógł żadnej spodziewać zmiany; on też Zoni porzucić nie mógł. Położenie się stawało` tém cięższem, że potrzebował pieniędzy na życie, a to do czego miał prawo dawno zostało wyczerpanem, na całym zaś majątku i kapitałach pani Chorążyna miała dożywocie. Prosić nie chciał, ze strony matki nie było nadziei, aby się nad nim ulitowała, musiał żyć dalej długami, które robił, a tych warunki coraz cięższe się stawały.

Pocziwy, spokojny, zimny na pozór Komnacki był jedyną ucieczką obojga, radziła się go i zwierzała mu Zonia, otwartem sercem mówił z nim Ewaryst.



Poszedł do niego z nową swą myślą, która mu przysłała po odebraniu smutnego listu Madzi.

— Znam o tyle matkę moję, odezwał się do niego, iż wiem, że nie ulegnie, mnie nie pozwala na to sumienie. Zdaje mi się, że gdybym raz się ożenił, matkaby się naówczas prześlagać dała. Widziałyby, że rzecz spełniona, pobłogosławiona przez kościół, uprawniona; obalić się nie da, przebaczyłyby nam. Jak ci się zdaje?

— Być by to bardzo mogło, rzekł po namyśle p. Euzebjusz, lecz przed ożenieniem, które jest związkiem nierozzerwanym, wiekuistym, namyśleć się trzeba, mój Ewaryście. Pomimo gorącej miłości waszjej, która jest może wypadkiem młodości obojga, czy wasze dwa charaktery są dla siebie stworzone, ja nie wiem. W pojęciach waszych zachodzą radykalne różnice. Ty jesteś człowiekiem umiarkowanym i spokojnym, ona gorączkową i rwącą się do wszystkiego co nowe, co obiecujące a mamiące.

Dziś godzicie się z sobą, bo miłość z obu stron ustępstwa robi, ale później gdy ona musi ostygnąć gdy ty na wieś ją wyciągniesz, życie twoje jednostajne i spokojne jej nie starczy. Naówczas ona w najdziwniejszych pokusach szukać będzie pokarmu wybujałej fantazyi, a ty.

Ewaryst nie chcąc się zgodzić na określenie charakteru Zoni, nie mógł zaprzeczyć, że w głównych rysach Komnacki miał nieco słuszności. Zdaniem jego innego wyjścia z tego położenia nie było, tylko to jakie on wykazywał, ożenienie.

— Mój drogi, przerwał Komnacki, trzeba najprzód się upewnić, czy się ona zgodzi na to. Ile razy mi się trafiło słyszeć ją mówiącą w tym przedmiocie, jeśli dobrze zrozumiał, protestowała zawsze w imię swobody i godności człowieka przeciwko małżeńskiej niewoli, znajdując, że kobieta i mężczyzna powinni być w każdej chwili zupełnie wolni, tak się rozstać, jak przystali do siebie.

— A! zawołał Ewaryst, ty wiesz czego Zonia nie wygaduje, gdy raz sobie cugle puści. Nie idzie zatem, ażeby stała przy tém jak przy niezłomnej prawdzie.

— Ale ja ją słyszałem sto razy powtarzającą toż samo, odparł p. Euzebjusz. Jest to właśnie jeden z tych aksjomatów, przy których się ona upiera najmocniej i na nim zasadza swoje mrzonki o reformie społecznej.

— W tém jestem pewien, ulegnie, dodał Ewaryst.

— Rozmyśl się dobrze nim ten krok stanowczy postawisz, rzekł Komnacki. W każdym innym razie bez namysłu powiedziałbym ci. żeń się, z tą biedną, choć bardzo ponętną istotą, sumienie każe mi mówić, namyśl się dobrze.

Wieczorem zaproszony na herbatę przyszedł Komnacki. Zonia w czasie niebytności Chorążycy, jak zwykła była bez ceremonii plondrować po jego papierach, tak i teraz szukała w szufladkach czy nie było listu, znalazła pismo siostry, odczytała je, zamysliła się głęboko, a wieczorem chodziła chmurna. Byli we dwoje tylko.

Ewaryst zaraz po herbacie wszczął rozmowę i napomknął, że innego nie mieli wyjścia tylko ożenienie.

— Rozumiem, odezwała się Zonia, chcesz matkę tym sposobem zmusić do przyjęcia faktu spełnionego. Gdy ksiądz pomruczy nad nami po łacinie i da nam parę pierścionków, Chorążyna uledez będzie musiała? wszak tak! ale ja, właśnie dla tego, aby się jój nie narzucać, na ślub nie pozwolę. Obeszliśmy się bez ślubu raz... obchodźmyż się i dalej. Cały urok naszego związku wolnego zniknie, gdy się on stanie przymusowym... Ja tego nie chcę.

Wedle waszych praw przykuci byśmy byli do siebie, to idea upadająca! Jabym musiała być twoją, ale w téjże chwili nie chciałabym nią być, bo musu nie znoszę.

Zresztą ani ty, ani ja nie możemy przysięgać na to, że się będziemy kochali, to absurdum. Do miłości żaden ksiądz zmusić, żadna przysięga znaglić, żaden obowiązek skłonić nie może, gdy serca wystygną.

Przepraszam, że zapożyczę frazesu łacińskiego z książki francuskiej, którą wczoraj czytałam. *Spiritus flat ubi vult*, tak samo miłość, która jest spirytusem także i niezbadanej natury...

Mówiła żywo, głośno, dumnie, a dokończywszy pochwyciła w dłonie głowę siedzącego męża i pocałowała go w czoło.

— Kochanką jak kochanką, rzekła, a żoną byłabym nieznośną, zupełnie jak pies trzymany na łańcuchu, który po jakimś czasie zły jest i wściekły... Wystawże sobie mnie tam u was, w spokojnym Zamłowie, obok świętej Chorążynnej, skazaną na chodzenie na palcach, na mówienie po cichu rzeczy pozwoleńnych, na męczarnię poskramiania się we wszystkim. Wedle moich pojęć, dodała, każdego człowieka zada-

niem jest rozwijać się wedle sił swoich najpotężniej, wedle was obowiązkiem jego jest poskramiać się, jest ducha gnębić, ciało, które go mieści męczyć, aby oddziaływało nań, nie mieć ciekawości, bo to prowadzi do piekła, nie mieć własnej myśli, bo ta wiedzie do herezyi, słowem, stać się automatem w rękach księdza... A tym ja być nie chcę i nie mogę.

Strząsnęła głową, okrytą włosami bujnemi, odsunęła je z twarzy i zamilkła.

Ewaryst patrzył na ziemię. Komnacki chciał mu wejrzeniem powiedzieć. A cóż, nie miałem słuszności?

Ażeby jednak poprzec przyjaciela p. Euzebjusz, zwrócił się do Zoni.

— Nie będę się z panią spierał o zasady, rzekł. Spytałem ją tylko o jedno. Czy miłość najwyższa nie jest i nie powinna być bodźcem do ofiar, i czy dowodem jęj najlepszym nie jest ofiara z siebie?

— Jest ofiar granica, odpowiedziała Zonia. Życie dla ukochanej istoty gotową jestem dać, przekonam moich i swobody dusznej — nigdy. Ta zalecana przez pobożnych faryzeuszów ofiara intelektualna jest gorzej niż samobójstwem, bo zabija duszę i upadła!

Ewaryst spojrział na nią, mówiła z zapalem ogromnym a wejść z nią z téj drogi, po której kroczyła na ubity gościniec pojęć ścisłej orthodoxyi, nie było sposobu. Była jawną buntownicą.

Oba przyjaciele zamilkli.

— Ja to jedno widzę, dodała Zonia, że Ewarystowi cięży to życie ze mną i to stanowisko niejasne, według niego, że radby wyjść z zawikłania, pogodzić

się z matką... A! ja to pojmuję! ja nad tém boleję; wszystko jestem gotową zrobić, tylko nie mówić na czarne, że mi się wydaje białém...

Zatrzymała się nagle.. i przystąpiła znów do Ewarysta.

— Drogi mój, trochę mężstwa! zawołała, przetrwajmy chwilę przełomu a zwyciężymy... Ludzie, co się dziś oburzają, zobojetnieją i zostawią nas w pokoju naszym i w tém co zowią naszym grzechem!

Rozśmiała się i zanuciła, ale wesołość, którą okazywała, była widocznie zapożyczoną i wymuszoną.

Natychmiast potem rzuciła jakieś pytanie radykalne Komnackiemu, zmuszając go do rozprawy z sobą, której on nie lubił, bo nie zwykł był z kobiętami wdawać się w uczone spory, znajdując, że mają logikę serca doskonałą, ale grzeszą przeciw logice myśli.

Szyderstwami zasypała go piękna Zonia, bijąc w to szczególniej, co Komnackiego najmocniój drażnić mogło. Mimo téj rozprawy na ostre rozstali się potem przyjacielsko; bo Zonia choć się kłóciła z nim, miała dlań szacunek. .

---

W kilka dni potém Komnacki siedział u siebie w domu, nad książkami, gdy nie oznajmując się wpadła, z tą samowolą z jaką zawsze wszystko spełniała co jój przyszło do głowy, Zonia.

Choć uśmiech na ustach miała, czoło było zasępione.

— Nie prawdaż, zawołała, od progu, wizyta niespodziewana i niemiła, przepraszam za nią, ale jesteśmy przyjaciółmi.

Nie kłopotcz się pan mną, dodała widząc, że Komnacki zapina surdut i poprawia ubranie, ja natychmiast wychodzę.

Staneła naprzeciw niego.

— Oboje kochamy Ewarysta, rzekła, choć każde z nas inaczej, potrzeba o nim myśleć. On nie ma sił do wytrwania na tym wyłomie. Kocha mnie, ale matka! ma swe prawa. Ja nie znałam prawie matki, dla tego może jestem tak dziką i zuchwałą. Miałeś pan słuszność mówiąc, że prawdziwa miłość zmusza do ofiary. Tak. Ja go kocham bardzo i jestem gotową na największą, najstraszniejszą jaką mogę uczynić.

Tu, spojrzawszy na Komnackiego i odgadłszy myśli jego, wtrąciła.

— Mylisz się pan i nie rozumiesz mnie jeśli sądzisz, że mówię o ślubie. Nie. Ofiary przekonania nie uczynię, mówiłam to, co innego chcę zrobić.

Zatrzymała się i spojrzała znowu na Komnackiego, wyciągając doń rękę.

— Daj mi pan słowo, że to pozostanie między nami?

— Chętnie.

Zonia, parasolik zarzuciwszy od niechcenia na plecy, przeszła się milcząca parę razy po pokoiku.

— Ewaryst się zamęczy, zabije ze mną, rzekła. czuję obowiązek porzucenia go. Niech myśli co chce, a jeżeli mnie nie zrozumie i myśleć będzie źle o mnie, uzna mnie płochą, swawolną, tём lepiej, nie będzie szalonej kochanki żałował.

Powiadam panu, on się zamęczy na śmierć, a ja zabójstwa przez miłość popełnionego na nim, nie chcę mieć na sumieniu. Wolę cierpieć, wolę ginąć!!

Komnacki załamał ręce z niemém uwielbieniem, ale razem z pewném niedowiarstwem.

— Mam dużo siły nad sobą, gdy raz obudzę w sobie wolę. Pan wiesz, że w człowieku wola stanowi ós, na której się życie obraca; ja ją mam.

Walczyłam z sobą i z miłością moją, z egoizmem namiętności, naostatek żal mi się zrobiło tego człowieka, puścić go muszę. Kochał mnie, ale był biernym zawsze w całych tych dziejach miłości naszej. Kochał mnie wprzódym nim się we mnie ta pasya dla niego obudziła; potём ja go uwiodłam, ja go rozzu-

chwaliłam, jam spoiła, jam uczyniła niewdzięcznym synem...

Ja powinnam naprawić to złe, oddać tego człowieka samemu sobie i rodzinie. On może być szczęśliwy, wracając przez pokutę i skruchę nazad do owczarni, a ja w tej trzodzie zdechłabym z tęsknoty za górami i swobodą.

Kocham go z całych sił duszy mojej, ale takię ofiary uczynić nie mogę. Życie, chętnie. Gdyby jutro kazał mi się z sobą utopić w Dnieprze, bez namysłu, a do Zamiłowa! nigdy...

— Więc cóż pani myślisz począć? przerwał Komnacki.

— A! to jest moja tajemnica! uśmiechnęła się smutnie bardzo Zonia, patrząc w okno. Ofiara postanowiona, wola niezłomna! zawołała z bólem, a! panie! teraz gdy mi przychodzi spełnić ją, rozstać się z tém szczęścia marzeniem, stargać ten mój węzeł złoty, porzucić tego człowieka, przed którego sercem i charakterem dusza moja klęczała w uwielbieniu, gdy pomyszę, że nigdy nie usłyszę z ust jego słodkiego imienia, Zoniu, gdy powiem sobie, nigdy!! panie, szaleję z bólu!

Zacięła usta, przymknęła oczy.

— Ale cóż jaby m zrobić mogła dla niego, co ty-le uczynił dla mnie, tylko to jedno! dam mu swobodę i wrócę spokój sumienia.

Oczy czarne, we łzach pływające, zwróciła ku Komnackiemu z pytaniem.

— Nie umiem pani powiedzieć więcej nic nad to, że mam dla nię poszanowanie najwyższe.



— Dziękuję, sucho odparła Zonia. Tak, dodała po namyśle, ofiara wielka, ale aby się mniejszą wydawała, dodam, że fantazyja w niej udział ma także.

Jestem nielitościwą dla siebie jak dla drugich, gdy wniknę w duszę moją, widzę w niej jasno. Pomi-mo miłości dla Ewarysta, to życie z nim ciężyło mi, było pozbawione ruchu, powietrza, widnokręgu. On był nadto dobry i posłuszny, były chwile... Tu przerwa-ła i natychmiast dodała.

— Więc, widzi pan, kropla egoizmu jest w tym kielichu goryczy i ośladza go.

Komnacki nie śmiał pytać ani o szczegóły, ani o wyjaśnienie tego, co nazwała swoją tajemnicą.

— Mam pańską aprobatę? zapytała.

— Uwielbienie, odezwał się Komnacki.

— Ani słowa Ewarystowi! mówiła gorączkowo. Ja sama jeszcze nie wiem kiedy i jak to wykonam... Chciałabym na wieki rozstanie wziąć z sobą tego szczęścia wspomnienie żywe... A! ust oderwać nie mogę od napoju, po którym męty i fusy życia mi zo-staną.

Lituj się pan nademną i nie potępiaj mnie, choćby pozory przeciwko Zoni były. Spełnia ofiarę...

Pamiętaj!

Podawała rękę i wyszła, drzwi zatraskując za so-bą. Komnacki pozostał chwilę przestraszony, niepe-wny co począć i ciekawy... Nie mógł wytrzymać, by zaraz nazajutrz nie pójść wieczorem do Ewarysta.

Tu, tak wszystko jakoś zastał po dawnemu, Zo-nię tak ożywioną, tak wesołą, tak starającą się ro-zerwać Chorążycą, iż zwątpił, aby to, z czém mu się zwierzyła, prawdą być miało.

Wziął to za wybuch jój bujnej fantazyi.

Najmniejszego znaku w mowie jój nie było, któryby dał wnosić, że zwątpiła o przyszłości.

Mówiła nawet o niej i uśmiech latał po ustach. Jedno go uderzyło tylko, że wesołość Zoni była daleko bujniejszą, dziecinniejszą niż zwykle, coś w niej nienaturalnego znajdował. Czułość dla Ewarysta nigdy żywszą i jawniejszą nie bywała. On też zdawał się odżywiony i tego wieczora swobodniejszej myśli niż zwykle.

Na dzień następujący Zonia ułożyła projekt wycieczki w okolice, na którą zaprosiła Komnackiego.

— Ale nas troje będzie mało, trzeba młodego i weselszego żywiołu dodać trochę, wołała biegając. Zaprośmy tego eleganta Zorzana, z którego się śmiać można, weźmy Francuza, którego blaga jest wyśmienita, a człowiek też dobry, gotowabym i Heljodorę spowaźniałą zagarnąć, ale zazdrosny wielce Radzca wprosi się z nią, bo jój nie wierzy. Między nami mówiąc, ma racją, Heljodora się czasem zapomina... biedne stworzenie!

Ewaryst, choć doborowi towarzystwa rad nie był, lecz że zastąpić go nie miał czém, a wiedział, że to Zoni robiło przyjemność, na wszystko przystawał. Tegoż wieczoru zamówiono konie, rozesłano zaproszenia.

Zonia starała się upewnić, że Komnacki im nie chybi.

Pogoda na dzień następny zwiastowała się tém pewniejsza, że wieczorem nadciągnęła burza gwałtowna z piorunami i w czasie jój barometr zaczął się podnosić do góry. Powietrze więc miało być odświe-

zone, liście zieleniejsze, pył przybity i natura w wypranych szatach.

Przepowiednia nie zawiodła, ranek nadszedł prześliczny. Zwykle obojętna na wygodę życia i nie bardzo o czém pamiętająca Zonia, tego dnia zdziwiła wymaganiami Ewarysta, którym mu trudno było uczynić zadość. Chciała mieć pasztety, szampana i wszystko, co najkosztowniejsze a najwytworniejsze.

Widząc, że Chorążyc trochę się wahał, dodała rzucając mu się na szyję.

— Ten raz! mój drogi, kto tam wie, czy kiedy znowu zbierzemy się na taką hulankę wesołą. Wiesz, że rzymski poeta powiada, chwile chwytać trzeba. Tyle ich człowiek przeplacze... Ewarysiu! ten raz!

Chorążyc się nie opierał, pozwolił jój wziąć co chciała, co zamarzyła i ostatek pieniędzy wydał na to, nie mówiąc, że nie wiedział czém istotne potrzeby załatwi jutro.

Wszyscy goście zaproszeni stawili się, nawet w kwestyi będąca Radczyni Majstrukowa, za którą w ślad szedł mąż pęcherzowato nadęty...

Wesołość towarzyszyła wyprawie. Wprawdzie na niebie oczyszczoném burzą, druga się zdała zbierać zdawała, ale, zdaniem wszystkich, nie mogła ona przyjść przed nocą.

Przodem wysłana służba z zapasami tak wszystko w małej karczemce wśród lasu urządziła, że gdy powozy przybyły, szampan już był zmrożony, stoły nakryte i wszystko gotowe na przyjęcie...

Zonia do trzpiotowatości posuwała wesołość, ścisnęła Heljodorę, bawiła pana Majstruka, śmiała się z Zorjana, a szczególnie nalegała na Francuza,

aby on zastępował i wyreżzał gospodarza, a do szaleństw pobudzał.

Panu d'Estompelles dwa razy tego mówić nie było potrzeba. Zaczął od tego, że do Radzcy się przysiadł, aby go spoić, co w prędcie mu się udało, chciał też samo uczynić z Ewarystem, ale ten miał po ojcu staropolską głowę i mógł pić dużo, nie poddając się winu, które go nie upajało...

Zorjan, wielbiciel płci pięknej bez wyboru, tego dnia pozbawiony przedmiotu, do któregooby mógł wzdychać, bo Zonia go zbywała ostro, zwrócił trochę już zawróconą głowę ku wyświeżonej pani Heljodrze, która go przyjmowała po staremu, sympatycznie i kiedy niekiedy tylko przestrzegała.

— Radzca patrzy! uważajże! nie masz pojęcia jak zazdrosny!

— Niech patrzy, kiedy on już tak jak ja niewiele widzi, mówił Zorjan przysuwając się. Oprócz pani oczek i białych ząbków, ja już oślepiłem na wszystko....

— No, widzisz, szepnęła Heljodora, gdy było można, to się nie umizgałeś, a teraz...

— Zawsze można! wykrzyknął aforystycznie Zorjan...

— A cichoż, zlituj się, Radzca słucha! wołała Heljodora.

— Słucha, ale nie słyszy, daje słowo, kończył Zorjan, więcej pił niż ja, a mnie oprócz głosiku pani... nic już nie dochodzi.

Spóźnione te umizgi ładnego chłopca w najlepszy humor wprawily Heljodorę.

Zonia przechadzała się, nalewała sama, wznosiła toasty, ścisnęła Ewarysta, ukradkiem coś szeptała Komnackiemu, naostatek gdy już późno być zaczęło, poczęła się klócić o coś z Francuzem i śmiejąc się a spiérając z nim, odprowadziła go na stronę.

Stanęła tak, aby ich widziano, ale we wrzawie rozmowy nikt nie mógł usłyszeć.

D'Estompelles szedł za nią, z twarzą mocno zarumienioną, co ją wcale piękną nie czyniło.

— Masz pan dobrą pamięć! zapytała go nagle.

— Wątpisz pani o tém? odparł Francuz.

— Nie, pytam...

— Słowa mojego nie zapominam nigdy, cudzego rzadko.

Rozmowa niezmiernie żywa się stawała, jak rakiety wolanta latały słowa.

— Pamiętasz pan, com mu kiedyś powiedziała?

— Wszystko com z jéj ślicznych ust słyszał!

— Mówiłam raz, żebyś czekał.

Francuz się rzucił.

— Właśnie to czynię.

— No, a gdyby ta chwila, na którą pan czekać miałeś nadeszła...

D'Estompelles o mało nie padł na kolana.

— Patrzą na nas, odezwała się Zonia, udawaj pan, że się klóćcimy.

— Na Boga! jaśniej, moja królowo... co każeś?

— Powiem panu najprzód, że mi, że mi się życie z Ewarystem znudziło, chcę zmienić teatr i rolę...

D'Estompelles, który tak radykalnego nic się może nie spodziewał, trochę się zmieszał.

— Pokryjomu ja nic nie robię nigdy. dodała dumnie Zonia. Kochać pana, nie kocham, ale może, nawykniemy do siebie. Nie mam nic oprócz téj sukni co na mnie. Chcesz pan mnie wziąć i uciekać gdzie za świat do Paryża? *C'est à prendre ou à laisser*, dokończyła.

Francuz osłupiały stał, wytrzeźwiał zupełnie, chwilę niemy jakoś i zmieszany zdawał się namyślać. Niepewność ta trwała pół minuty może. Zonia tego dnia była cudnie piękną, ubrała się z wielką elegancją, jakby chciała i potrzebowała się podobać. D'Estompelles oczarowany, zawołał.

— Uciekamy! dokąd chcesz? kiedy? jestem w pogotowiu. *A la vie et à la mort!*

— Dam znać kiedy, odezwała się Zonia, wyciągając rączkę drżącą ku niemu i bledniejąc.

— Słowo!

— Przysięga jeśli trzeba.

— Gdzie słowa za mało, tam przysięga nic nie znaczy, dodała Zonia. Gotuj się pan do podróży. Jeszcze raz muszę mu powtórzyć, nie mam nic oprócz sukni, którą włożę. Z tego domu nie godzi mi się wziąć, nic! nic!!

D'Estompelles w zachwyceniu patrzył na nią.

— Nie jestem bogaty, ale co mam u nóg twych składam.

— Ja bogactwa nie potrzebuję, nawet ubogą być potrafię, dodała, idąc już ku towarzystwu Zonia. Myśl pan tylko, abys na dany znak był gotowym... Pojedziemy do Paryża.

D'Estompelles prędko podchwycił.

— Gdzie każesz...

Jeszcze raz zwróciła się Zonia ku niemu.

— Słowo?

— Najświętsze!

Szybkim krokiem powróciła z nim do stolika, chwyciła swój kieliszek szampańskiego.

— Piję zdrowie Francyi i szlchetnych a miłych jój dzieci! zawołała.

Wszyscy wzięli kieliszki. tylko Radzca uląkł się politycznej aluzyi i trochę zatrzymał, lecz Zorjan, którego interesem było w tej chwili, aby pił jak najwięcej, dolał mu do szampana koniaku i zmusił do wychylenia. Poczém jak najserdeczniej się uściskali, co Heljodorze zrobiło taką przyjemność, że się aż przechyliła z ławki, śmiejąc z tej serdeczności mężowskiej.

Komnackiego bacznosci nie uszła rozmowa na uboczu z Francuzem, ani toast wzniesiony, lecz położył to na karb jakichś układów o dalszą zabawę, której gospodarstwa podjął się d'Estompelles.

Chociaż chmura od dawna już zbierająca się na zachodzie, coraz przybierała groźniejsze rozmiary i momentami warczało w niej, nikt nie zdawał się widzieć, że nadchodziła.

Dopiero silna błyskawica i trzask padającego nieopodal w lasku piorunu spłoszył gości i zmusił uciekać pod dach. Zorjan skorzystał z zamętu i porwał Heljodora pod rękę uprowadzając ją, gdy Radzca niespokojny, a nie bardzo nóg pewny, jeszcze się z za ławy, na której siedział, dobywał.

Jedna ciasna izdebka, przyciemniona teraz nadchodzącą nawałnicą. i alkierzyk mały, służyły gościom za schronienie...

Po pierwszym uderzeniu piorunu, deszcz się puścił jak z wiadra i gromy zaczęły padać jedne po drugich, z taką gwałtownością, iż rozmawiać było trudno. Po oślepiającym blasku błyskawic, następowały ciemności, wśród których Radzca napróżno oczami szukał żony, mruczając, ale gdzież jesteś, Heljodoro?

Oprócz tego, skutkiem burzy i szampana, gdy siadł na ławie, tak gwałtownie spać mu się zachciało, że w końcu zdrzémnąć się musiał..

Zonia w jakiś stan niezwyčajny upojenia wprawiona została burzą, stanęła w progu z kieliszkiem i za każdym gromem, piła zniszczenia zdrowie.

— A! co za śliczny fajerwerk na zakończenie, wołała, czy mogła piękniej, cudowniej się zamknąć ta biesiada?

Pioruny! bijcie! choćby w nas!!

Heljodora przeciwnie obawiała się ich i za każdym wykrzykiwała coś stłumionym głosem, na pół omdlała, przechylając się w objęcia litościwego Zorjana. Radzca drzémał..

Francuz stał zamyślony, jakby go wesolość niedawna opuściła nagle. Ewaryst był u boku Zoni, która mu rękę położyła na ramieniu.

— A! gdyby litościwy który uderzył teraz w nas dwoje! Co za śliczna, wesola śmierć. Ewaryście! zawołała kłoniąc się ku niemu. Ale pioruny są Nielitościwe i głupie, dodała, biją w drzewa, trzaskają w wodę, mordują tych coby żyć chcieli, a żaden nie przyjdzie gdzie go biedny, znękany woła!!

Deszcz powoli ustawać zaczął i niebo się odsłaniało na jaskrawo malowanym zachodzie. Czas i potrzeba było powracać do miasta...



Zonia sama jedna z Ewarystem siadła do najmniejszego powoziku, chciała być z nim. Radzca śpiący, z żoną i Zorjanem zabrał się do drugiego, w trzeci siedli Komnacki i Francuz, który zdawał się niezmiernie znużony, ale zarazem szczęśliwy.

P. Euzebjust, żartując sobie z jego upojenia, bo tak tłómaczył dziwny wyraz jego twarzy, rzekł mu wsiadając.

— Wiesz, panie Henryku, wydajesz mi się tak, jakby w ciebie jeden z tych piorunów uderzył.

— Któż wie? odparł Henryk, może!!

Uśmiechnęli się, lecz na tém pytaniu i odpowiedzi skończyła się ich rozmowa, dojechali do Kijowa, nie przemówiwszy już do siebie; Francuz udawał drzémkę...

Nic potem nie zmieniło się w życiu Zoni i Ewarysta, nie można było w niej dostrzedz najmniejszego śladu myśli, które sobie karmiła. Okazywała tylko czułość nadzwyczajną dla Chorążycy i była momentami zadumana...

Jednego wieczora poskarżyła się na ból głowy przy herbacie.

— Wiész, idź ty na dół do siebie, odezwała się do Ewarysta, ja się położę...

To mówiąc objęła go, uścisnęła z całych sił, gorącemi usty dotknęła czoła jego i dodała.

— Dobranoc.

Chorążyc zszedł na dół, nakazując milczenie ludziom.

Gdy wstał rano, wchodzący sługa na zawołanie, wydał mu się tak zmieszonym, że go to uderzyło.

— Co ci jest?

— Nic mi panie...

To mówiąc zająknął się, schylił i po pewnym namyśle, rzekł.

— Pani nie ma.

— Jakto, nie ma? poszła na spacer? któraż godzina? spytał Ewaryst.

— Nie, proszę pana — służąca powiada, że pani wyszła jeszcze wczoraj wieczorem, gdy się pan położył i nie powróciła.

Na stoliku leży jakiś list. Ewaryst jak oszalały poleciał na górę...

W istocie na stole zapieczętowaną zobaczył kartkę, którą rozerwał z pośpiechem.

Stały na niej te słowa.

— „Daruj! dłużej żyć nie mogłam z tobą! Bądź zdrów!

Przebacz wszystko. Nie goń za mną, zostaw mnie memu przeznaczeniu. Bądź zdrów!“

Drżącą ręką, niewyraźnie nakreślone były te słowa.

Stał nad niemi zdrętwiały Ewaryst, gdy wszedł Komnacki. Trzymał w ręku papier, którym mu oznajmiła Zonia, aby zrana Ewarysta odwiedził.

Chorążyc rzucił mu się na piersi wołając.

— Nie ma jój!

— Wiem o tém, odezwał się Komnacki. Mężna choć obłąkana kobiéta, spełniła to co sądziła obowiązkiem...

Nie będziemy malować tych piérwszych chwil tęsknoty i samotności, które dla Chorążycy o mało nie stały się groźnemi. Parę dni snuł się po pustych kątach domu, chwytając co pozostało po Zoni, która

nic nie zabrała z tego czém ją obdarzał. Znikł tylko medaljon Ewarysta, w którym były przez nią ucięte mu włosy.

Trzeciego dnia Chorążyc położyć się musiał. wezwano doktora, który zawyrokował, że chory miał z zaziębienia febrę niedobłą. Komnacki z własnego popędu napisał, oznajmując o tém Madzi i dodając, że Zonia niewiadomo jakim sposobem, zniknęła, uchodząc dobrowolnie...

W istocie Ewaryst ani dopytywał, ani się dowiedział co się z nią stało, choć w mieście mówiono głośno, że uciekła z Henrykiem d'Estompelles, co ją ostatecznie w opinii publicznej zabiło.

Użalano się nad Chorążycem, potępiano kobietę bez serca, niegodną tego szczęścia jakie ją spotkało... D'Estompelles uchodząc zostawił ogromne długi i żadnego śladu dokąd się udał, ani ochoty do zapłacenia ich. Jak się tam o nim wyrażano, nie będziemy powtarzali.

Tegoż dnia gdy wiadomość o ucieczce Zoni rozeszła się po mieście, skorzystał z niej Zorjan i poszedł z nią do pani Heljodory w godzinie, w której Radzcy w domu nie było.

Pani Majstrukowa zakrzyknęła naprzód. Nie może być! a to warjatka! Potem jednak dołożyła, że zawsze się po téj wietrznicy można było tego spodziewać, a ona uważała nawet, że z Francuzem pokryjomu dawno miała stosunki...

Rozmowa o Zoni tak długo się jakoś przeciągnęła panu Zorjanowi, że dopiero powrót do domu pana Radzcy go wypłoszył.

Ewaryst leżał chory, a choć słabość nie zdawała się niebezpieczną, była tój natury upartój, o którą się wszelkie leki rozbijają.

Nadjechała pani Chorążyna z Madzią.

Zawczasu, unikając zbyt wielkiego wrażenia, oznajmił Komnacki przyjacielowi, że się przybycia matki jego spodziewa, i gdy staruszka weszła przestraszona, załamiona, niepamiętna tego co się stało i co ucierpiała, Ewaryst podniósł się i płacząc padł w jój objęcia. Osłabienie wywołało te łzy.

O przeszłości mowy nie było. Chorążyna nie chciała o niój pamiętać i pragnęła, aby on także o niój zapomniał. Nie przyszło to łatwo...

Starania matki, powracający zwolna spokój ducha, dały Ewarystowi sił tyle, że mógł powoli być przewiezionym do Zamiłowa. Chciała tego Chorążyna, wiedząc jak do miejsc i do rzeczy wiążą się żywe a bolesne wspomnienia.

Madzi poleconém było zrobić co chciała z tą pozostałością po siostrze. Weszła na górę zapłakana, aby przeczytać tam kartę historyi serca ludzkiego, wypisaną tém co jój towarzyszyło. Najmniejszy sprzęt, papier, książka, miały na sobie piętna przeszłości. Na książkach Zonia kładła przypisy i znaki, stare jój seksterna świadczyły o pracy tój duszy, chciwój wiedzy i upojonój jedną jój wypitą kropelką.

Były tam i pamiątki krótkiego życia z Teofilem i ów czepeczek dziecięcia, które nie żyło, schowany gdzieś z listami. Jakby gardziła tém co o niój powiedzą ludzie, Zonia nie zniszczyła nic, nie spaliła żadnego świstka...

Na Madzi te pokoiki robiły wrażenie mieszkania po umarłym. W istocie była też ona dla nich umarłą.

Rozbudziła się litość w sercu dziewczęcia i żal jakiś zatracenia tych wspomnień, wczoraj jeszcze drgającego życia; obowiązek jednak nakazywał rozproszyć to i zniszczyć. Madzia kazała wszystko sprzedać z licytacyi, a grosz na ubogich oddała. Chorążyna znalazła to najrozumniejszém..

Zaproszono do Zamiłowa na pierwsze dni pobytu w nim Komnackiego, który, pomimo zajęć przykuwających go do miasta, przeprowadził Ewarysta.

Dokoła niego nikt nigdy imienia znikłój nie wymówił, unikano wszystkiego, co ją w jakikolwiek sposób przypominać mogło... Chorążyna jak była surową wprzód, tak się stała niewypowiedzianie czułą i dobrą dla syna. Serce macierzyńskie dawno mu przebaczyło.

Miał na sercu Komnacki, aby w jej opinii podnieść nieszczęśliwą Zonię. Jednego dnia począł opowiadać swą rozmowę z nią, ale staruszka mówić mu nie dała.

— Przepraszam pana, ja o tém wiedzieć nie chcę! słuchać nie będę.

Usiłowanie to spełzło na niczém. Madzi tylko po cichu udało mu się szepnąć o tém, a biędne dziewczę zasromane nie zrozumiało rehabilitacyi, która w jej przekonaniu niemożliwą była. Zmilczała, nie mówiąc słowa, nie mogła darować też siostrze, która Chorążycowi zwichnęła życie, odebrała zdrowie, uczyniła go nieszczęśliwym.

Wstawszy z łoża i na pozór wróciwszy do zdrowia, Ewaryst nad wiek wydawał się postarzałym i

smutnym. Zajęcie około gospodarstwa i interesów nie dawało mu zbyt myśleć o przeszłości, lecz widać było, że to, co spełniał z obowiązku, niewiele go obchodziło. Automatycznie jakoś zabawiał się, pracował, czytał, chodząc z niestartą nigdy chmurą na czole.

Chorażyna wysilała się dla niego na nowe rozrywki, ściągała ludzi, uprzedzała najmniejsze zachcianki, życia mu młodzieńczego przywrócić nie mogła. Pozostał jakby pokutnikiem, noszącym na sobie pamięć i brzemię grzechu...

W cichym domu, z oczyma w ten posąg smutku (jak go zwała) wlepionemi, Madzia kręciła się posługując staruszc i jej synowi. Czasem łza, patrząc na niego, zakręciła się jej w oku, ale z nią zaraz uciekała do kątku.

W parę lat po opisanych wypadkach, sąsiad Zamiłowa, pan Zenon Przetocki, który tam niekiedy bywał i Madzię widywać miał zręczność, a wiedział że miała trochę grosza i wiele przymiotów dobrej żony i gospodyni, oświadczył się o rękę jej Chorażynie.

Staruszka bardzo była za tém; zdziwiła się mocno, gdy zarumieniona Madzia, upadłszy jej do kolan z płaczem, prosić zaczęła, aby jej do tego nie zmuszała, że za mąż iść nie chce i nie myśli. a służyć jej będzie zupełnie losem swym zaspokojona.

— Bardzo ci dziękuję, moje dziecko, odparła Chorażyna, ale ja nieśmiertelna nie jestem; zostaniesz tu sama. Gdyby się choć Ewaryst ożenił, to byś w domu pozostać mogła, ale tak. przy kawalerze... nawet nie będzie wypadało... Gdzież się ty podziejesz? co poczniesz?

— Moja dobrodziejko! zawołała Madzia, jakbym tu pozostać nie mogła, na starość przysiądę gdzie u pańien miłosiernych i tak życia dokończę..

Łzy jój biegly z oczów, drżała tuląc się do Chorążynéj a powtarzając, że jój opuścić nie chce i nie może. Musiała stara zmilczéć i przeprosić pana Zenona, tłómacząc dziewczę, wstrętem do małżeństwa...

Ewarysta Chorążyna gwałtownie ożenić pragnęła, nie śmiano mu o tém mówić, nastęczano zřeczności poznania młodych osób, matka intrygowała potrosze, niewidocznie; Chorążyc grzecznie się zawsze wywijał tak, iż najmniejszój nie dawał nadziei, aby to kiedy do skutku przyjść mogło.

Po upływie lat kilku, matka otwarcie ośmieliła się go nakłaniać do tego.

— Choćbyś wielkiego serca nie miał, mówiła, przywiązesz się, samemu człowiekowi żyć niedobrze, nie będę mogła umrzeć spokojną o ciebie.

Opiérał się Ewaryst i nierychło odpowiedział matce, nagradzając dawny swój upór, powolnością synowską.

— Dobrze, niech mi mama żonę wybierze i da — ożenię się dla matki.

Tak się stało, stara Chorążyna wyswatała mu młodą, ładną, dobrą, powolną panienkę, która miała tę jedną wadę, że w niéj duszy nie było...

Ewaryst przywiązał się do niéj, jak do dobrego dziecięcia, które trzeba było prowadzić na pasku. Ożenienie jego Madzia opłakała po cichu, ale było ono dla niéj rękojmią, że w domu pozostanie, że na swój ideał patrzéć będzie mogła zdaleka i poić się marzeniem dzieciinném...

Zmarła pani Chorążyna. Madzia w tym samym pokoiku, który zajmowała za jej życia, pozostała pomocnicą młodej pani, z kluczykami chodząc i wyręczając ją w gospodarstwie. Ewaryst był dla niej z przyjaźnią wielką, lecz od czasów Zoni, choć z twarzy mu jej nie przypominała, nosiła wspomnienie tej niezapomnianej i zbliżyć się nie mógł do niej, nie myśląc o ztraconej.

Głosem też czasem Madzia mówiła tak podobnym, że Ewaryst mimowolnie drgał cały i aby go nie słuchać uciekał...

O zbiegłej panie Raszkównie, nietylko w Zamłowie nic nie wiadano, bo tu nic dojść nie mogło, ale i w Kijowie też nawet między dawnymi przyjaciółmi p. Henryka d'Estompelles, do których się on podobno odzywał, nikt nic nie wiedział.. Znikła jakby wpadła w wodę. .

Pamięć tylko tej Tytanii została pomiędzy młodzieżą i stary Jewłaszewski, który dosłużył się wysokiego jakiegoś stopnia w hierarchii naukowej, w chwilach wynurzeń poufnych, opowiadał o niej z entuzjazmem, jako o istocie nadzwyczajnej.

— Nie podzielałem ja nigdy jej przekonań, mówił z powagą, bo była nadzwyczaj krańcową, lecz niepodobna było wigorowi jej umysłu i sprężystości charakteru się nie dziwić. Przewidzieć było łatwo, że coś tak przerosłego zginie marnie, bo to się utemperować nie mogło!



Kto te dni grozy i sądu Bożego przeżył w stolicy Francyi i był świadkiem ostatniój walki zrozpaczonej i oszalałej komuny, z wojskiem po części z niemieckiej już niewoli zbieglém, mszczącym się na swoich za klęskę poniesioną od wroga, ten dni tych grozy i sądu nie zapomni póki żywota.

Paryż przypominał ogniem Bożym zniszczone grzeszne grody wschodu, wielki kataklizm dziejowy spadł nań jakby z niebios samych.

Komuna w konwulsyjnych, ostatnich drganiach wściekle się mściła za własne szaleństwa na wszystkiém co ją otaczało, chciała, aby z nią ginął świat, miasto, skarby, pamiątki, wszystko...

Paryż gorzał, na wieczorném niebie olbrzymią roztaczając łunę, płomienie i dymy buchały do góry, powietrze przejęte było zgorzelizną, smrodem pretrolu, dymami prochu, wonią krwi, która rynsztokami płynęła i w kałużach ścinała się po ulicach...

Trupy zalegały podwórza, barykadowały przejścia, rzędami stały oparte o mury, kupami wały się po ogrodach.. Młodzież, starców, kobiety, dzieci,

matki z niemowlętami u piersi widać było wśród tych stosów zwłok, nad którymi płakać nie było komu.

Na ostatni akt téj tragedyi rozpoczętej orgiami regencyi i rozpustą Ludwika XV, spadała zasłona ognista...

Paryża w Paryżu poznać nie było podobna; było to owo miasto wesela i uciechy, co śmiać się umiało gilotynie Robespiera i wchodzącym wojskom koalicji na gruzi Cesarstwa? miasto, co wabiło świat ku sobie piosnką i rozkoszą?

Wyglądało jak gród zwyciężony i zdobyty, niestety, przez własne dzieci na własnych dzieciach, z przelewem krwi, w którym ni jedna, ni druga strona nie szczędziła ani kapłaństwa ni starości, ani niemowlęstwa ni słabości...

Prawda, że w tym szale całego tłumu, niewiasty stawały się żołnierzami barbarzyńskimi, a dzieci bohaterami.

Tego wieczora miasto było jak cmentarz i trupiarnia straszne, a na czole miało płomień pożaru...

W małej uliczce, w sąsiedztwie zdobytego cmentarza Père la Chaise, odegrywał się dramat, jakich ten dzień liczył tysiące. Kupka komunardów broniła się wściekłemu napadowi wersalczyków, podnosząc jeszcze nad głowami poszarpaną, zbłoconą, zszarzaną jak łachman czerwoną chorągiew!

Przyparciu do muru komunardy, wystrzelawszy ładunki ostatnie, strzaskawszy kolby na głowach nastupników, stanęli bezbroni, czekając śmierci.

Na czele ich, w podartym mundurze jakimś, z twarzą zaognioną, z włosami rozczochranemi, z pianą na ustach, ze zgrzytem zębów, wykrzykując: niech

żyje komuna! stał człowiek lat średnich, niepomny już, że śmierć była przed nim.

Oczy krwawe zdawały się wyskakiwać z powiek, twarz powalana prochem, ręce pomazane krwią, odzież poszarpana od kul i cięć, świadczyły, że walczył już od dawna.

Gdy reszta towarzyszków jego próbowała przed naciskającym batalionem wersalczyków ocalić się, drapiąc się na mur, do którego była przyparta, on jeden stawiał czoło kulom i bagnetom bezbronny, nie myśląc o ratunku. Urągał się śmierci, miał tę gorączkę boju, w której się zapomina o życiu, o sobie, staje się dzikiem zwierzęciem.

Ze schrypłych piersi buchało tylko ciszej coraz: niech żyje komuna! na urągowisko żołnierzom, których bagnety do piersi jego wymierzone były...

Z drugiego rzędu nagle grad litościwych kul posypał się na niego, szalenieć podskoczył w górę, zakreślił się jakby śmiertelnym tańcem i miał paść na ziemię, oblany krwią z ran kilku, gdy bagnety wbiły się w piersi i boki i drgającego trupa zatrzymały w powietrzu.

Widać było strumień krwi, który z ostatnim wykrzykiem buchnął mu z ust i potoczył się na piersi obnażone.

On i chorągiew padli razem na ziemię, a jeden z żołnierzy porwał zdarte знамя, poszarpał je w kawałki i wrzasnął:

— Precz z tym zbłoconym łachmanem!

W jednej chwili garstka komunardów zmieniła się w stos trupów. Z wściekłością od tych szaleńców niemniejszą wersalczycy dobijali bezbronnych. Co je-

szcze stało przy murze, to rozmiążdżone kolbami runąć musiało na ziemię. Dopóki jęki i tchnienia słychać było zwycięzcy bili i dobijali, pastwiąc się nad trupami jeszcze. Szał mordu ich ogarniał, zdało się im za mało tych poległych, szukali oczyma ofiar nowych...

W oknie domostwa, którego żaluzye były popuszczane, ukazała się głowa kobiety obwinięta chustą; żołnierz jeden na cel ją wziął ze śmiechem, świsnęła kula i trup zawisł głową i rękami z okna.

Śmiech się dał słyszeć w szeregach zwycięzców, pijani byli krwią obrońcy porządku.

Dowodzący nimi podporucznik, niedawno z Niemiec wrócony jako jeniec z pod Sedanu, zawołał wręście na żołnierzy, aby szli za nim szukać ofiar nowych.

W kupie trupów nie poruszało się już nic, nie było życia, nie było nawet można rozeznąć ciał zlepionych w jedną masę nieforemną, polaną krwią czarną, zbitych kolbami w olbrzymie gnojowisko...

Mur, przy którym się odegrała ta scena sturamiennego dramatu, pomalowany był bryzgami krwi, poznaczony odciskami dłoni i palców krwawych, które przyległy do niego...

Jak na urągowisko téj tragedyi rozlewu krwi bratniej, z pod plam świeżych wyglądały napisy i rysunki stare, brzmiące wesołością i rozpustą. Krew zamazywała ślady bezbożności i swawoli...

Kupka żołnierzy, dysząc jeszcze mordem, upojona łatwém zwycięstwem, biegła po nowe laury, szukając na kimby je zbierać mogła...

Kątek, który niedawno był teatrem zażartéj walki, już w mroku nocy zalegała cisza śmierci.

Odblaskiem łuny tylko oświecone były trupy, pobojuwisko, mur, droga i suche gałęzie drzew, zwieszane nad oszarpaną zagrodą.

W dali słychać było, czego może ucho ludzkie drugi raz już nie usłyszy razem, krzyki i strzały i śpiewy przedśmiertne i wołania ginących i trzask płonących budowli i grzmot walących się murów. W głębi — głucho, odzywały się działa jak dzwony żałobne...

Walka rozpaczliwa dogorywała... Ulice zajmowały patrole wojskowe, na placach obozowały regimenta; pod pałacami się gmachami rozstawiały się szeregi nadbiegających zwycięzców. Tu i owdzie za uciekającą gromadką goniły strzały i ludzie; gdzie-niegdzie rozpaczliwa ręka rzucała ogień i lała pokarm płomieniom...

Domy stały zamknięte jak trumny...

W jednej z uliczek, wiodących ku murom krwawym, w mroku nocnym, na progu łichego domostwa pokazała się kobieta. Z ubioru, na pierwszy rzut oka wziąć ją było można za proste dziecko ludu, twarz zdawała się mówić o innej przeszłości.

Na krótko uciętych włosach czarnych miała związaną chustkę jedwabną, niedbale, zapewne nie dnia tego, bo ją ruch poskręcał i zsunął, na sobie suknię czarną, zszarzaną, na piersiach chustkę, której węzeł niedbale splątany zwieszał się na plecach. Zbłocone pończochy, wykrzywione obowie nie jeden już dzień okrywały jej drobne nogi. Ręce miała obnażone do pół, chude i zwiędłe, ale na twarzy oświeconej łuną pożaru dziwny wyraz energii, szału, niepokoju, dzikości...

Twarz ta, piękna niegdyś, dziś jeszcze była zastanawiająca siłą, która z niej tryskała oczami ognistemi, zmarszczoną brwią, czołem pofałdowanem, ustami zaciętymi dumnie. Jakby wypchnięta rzuciła się ze drzwi domostwa, stanęła w progu, obejrzała się dokoła, przyłożyła rękę do serca, nastawiła ucho na szum i gwar daléki. Spojrzała ku niebu, na którém jak olbrzymia zasłona, wahała się luna krwawa...

I widać było przebiegającą po jój licu grozę tego widowiska jakby mściwą z niego radość. Niepewna czy ma iść daléj, wysunęła się do pół ulicy, noga jój ośliznęła się na bruku, spojrzała nań i dostrzegła kałużę ciemną. Cofnęła się...

W mroku tuż widać było bielejące ciała... Legły one tak jak je położyły kule, jedno na drugich, zastygłe w ostatnich życia drgnieniach.

Z ciekawością pochyliła się kobiéta nad zwłokami rozstrzelanych... Jeden z nich twarz miał obwisłą włosami, odgarnęła je, popatrzyła i cofnęła się...

Daléj w uliczce cicho było... Na chodniku leżał zabity pies, którego nie oszczędziły kule

Nieśmiałym krokiem, przesunawszy się do murów znowu, kobiéta szła, jakby przekradając się daléj, szła wzdłuż domów zamkniętych, pustych, w których najmniejszego śladu życia nie było...

W miarę jak się posuwała daléj, krok jój stawał się żywszym, niepokój większym. szukała oczyma tego kąta, w którym przed małą chwilą wrzała walka...

Róg ulicy jeszcze go jój zakrywał, a słaby odblask łuny ledwie się dozwalał kierować, wśród zawad różnych, kałuż i gruzów, które chodnik i ulicę zawałały...

Stanąwszy w rogu, kobiet rzuciła oczyma w prawo i lewo... W lewo biegła uliczka pusta i wymarła, w prawo mur wysoki kończył się owém pobojewiskiem.

Zdała rozeznąć go nie było łatwo... Na ciemném tle poszarpanej odzieży i zaschlonej krwi, kawałkami gdzie-niegdzie bieleły już zżółkłe trupie piersi, ręce, nogi i twarze. Jakiś instynkt wskazał jej ten kąć czarny...

Opierając się o mury, sunąć się zaczęła ku niemu. Szła to gorączkowo przyspieszając kroku, to zdając się wahać i lękać. Niekiedy na sercu machinalnie kładła rękę, aby mu nie dać bić zbyt gwałtownie i głośno.

Długi czas wlokła się tak do rogu murów, aż przed trupami stanęła. Zacisnęła ręce na piersiach i patrzyła w nie okiem ośleplém.

Schylila się potém zwolna... drgnęła i padła. Na wierzchu zaświeciła jej twarz znana...

Zdawała się nie wierzyć widzeniu i snuła się po niej oczyma, aż drżące ręce wyciągnęła ku zwłokom i głowę zabitego podniosła.

W tej chwili buchnęły gdzieś zdaleka płomienie pożarne i blask ich powiał po trupach.

Kobięta krzyknęła, w świetle tém poznała twarz, której szukała. Była okropną, kula jedna przedziurawiła jej czoło, druga na wylot przeszła policzki. Usta w ostatnim krzyku, krwi zgęstłej pełne, otwarte, zastygły...

Zwolna położyła kobięta podniesioną tu głowę i zapatrzyła się w nią.

Z oczów jej żadna łza nie pociekła, usta skrzywiły się ironicznym uśmiechem, jakby znalazła tu miejsce dla siebie przeznaczone, usadowiła się u nóg trupa, na drugim trupie.

Ze wzrokiem wlepionym w zbroczoną głowę, martwa, została tak nieruchoma. Co myślała i czy myślała co? można było zważyć, że żyła nawet, gdyby nie drgania jęj ciała i spadanie na piersi głowy...

Trwało to, nie wiedziała jak długo. Schyliła się raz jeszcze do zwłok i oburącz dźwignąć je chciała, lecz ciężar ich i ją obalił. Zerwała się i siadła znowu.

Noc tymczasem płynęła.

Mróz przeszedł po ciele skostniałym kobiety, wstała i zaczęła iść żywo, oglądając się za siebie.

Nie wiedziała gdzie szła, lecz zdawała się wiedzieć po co. Wyraz energii powrócił na twarz.

Ulicą wprost, mijając tę z której wyszła, skierowała się ku miastu, nasłuchując krzykom i jakby ich szukając. Parę razy zwróciła się ciasnemi przejściami tam zkad one pochodziły...

Szła coraz żywiej, bo los zdawał się jęj przeciwieć, głosy, które gonila, uciekały przed nią. Szła jakby pustynią wymarłą, wszędzie widok ten sam, zamknięte domy, trupy u ścian, kałuże krwi, kupy niepogrzebionych zwłok, gdzieniegdzie barykada rozwalona, strzaskane działo... Cisza w pobliżu, gwar dziki w dali...

Chód jęj zmienił się w bieg, ale tchu brakło do prędszego ścigania, oprzeć się musiała o ścianę i spoczywać. Potem zaledwie cokolwiek odzyskawszy sił, biegła znów dalej.

U zbiegu ulic kilku, doścignęła placyku. W pośrodku jego palił się ogień, żołnierze na ziemi leżąc obozowali.

Spostrzegłszy to widmo, wychylające się z nocnych mroków jeden z żołnierzy, krzyknął:



— Petroleuza!

Nie wstrzymało to jój w pochodzie. W tém oficer, który na ziemi spoczywał, wstał i zbliżył się ku niej.

Był to młody człowiek, na którego twarzy, rzadki tego dnia malował się smutek i groza. Widać w niej było litość, jakby wstydzającą się siebie.

— Po co tu idziesz! cichym głosem odezwał się do wprost ku niemu zmierzającój.

Kobiéta stanęła, ręce zakładając na piersi i śmiało w oczy patrząc pytającemu.

— Po co tu idziesz! powtórzył niecierpliwie młody oficer. nogą uderzając o bruk.

Żołnierze jego z dziką żądzą krwi popodnosili głowy, czekali odpowiedzi. Kobiéta zwlekała z nią, bo usta jój zeschłe, spalone, głosu wydać nie mogły.

Oficer miał się czas jój przypatrzeć, zdawało się, że wyraz twarzy, postawa, rozpacz jaka się w niej malowała, poruszyły mu serce, wskazał jój uliczkę sąsiednią, aby uchodziła.

Kobiéta stała uparcie.

— Czego chcesz? powtórzył oficer, widząc że niektórzy z żołnierzy wstawali już, radzi nową pochwyć ofiarę.

— Czego chcę? przychodzę prosić was, abyscie mnie rozstrzelali! odezwała się przybyła.

W akcencie jój mowy, paryżanin poznał cudzoziemkę.

Zbliżył się ku niej z tém żywszą ciekawością.

— Waćpani nie jesteś francuzką? zawołał.

— Nie, alem poślubiła sprawę Francyi i komuny... Powinniście mnie rozstrzelać.

Żołnierze zaśmieli się śmiechem dzikim i niektórzy z nich powstawali, oficer nakazał im spoczywać. Nie bardzo go słuchano. Pragnął ocalić tę ofiarę, która mu się narzucała sama.

— Kuli mi żałujecie? odezwała się kobiéta, starczy wam ich przecie, z Niemcami już się bić nie potrzebujecie, a z naszego obozu zostało niewiele...

Szydersko wybuchnęła śmiechem.

— O! jak przeciw komunie byliście dzielni, wy, coście Niemcom tysiącami zabiérać się dali!

Oficer z obawy, aby nie rozdrażniła żołnierzy, nakazał jéj milczenie gwałtownie, chwycił za rękę i odrzucił ją opodał nieco na stronę.

— Milcz i idź! krzyknął wściekły.

— Czemu mnie nie rozstrzelacie? nie macie litości.

— Boś szalona, kobiéto! wołał oficer, a waryatów na seryo francuzki żołnierz nie bierze...

— Przecie cała komuna była domem waryatów jak ja! zaśmiała się kobiéta, a nie mieliście litości nad nią, nie miejcież jéj nademną.

— Precz! wołał uparty oficer.

— Pójdę więc do Sekwany! odezwała się szukająca śmierci.

Na młodym oficerze twarz sympatyczna i głos ten boleści a rozpaczy pełen, coraz większe zdawały się czynić wrażenie.

Dał znak jednemu z kapralów i poszeptał mu coś na ucho.

Kapral groźnie przystąpiwszy do oczekującej, chwycił ją za rękę i powiódł za sobą.

Szła za nim posłuszna, spodziewając się może śmierci, gdy kapral zastukał do bramy na rogu uliczki stojącego hoteliku, uderzył potem pałaszem we drzwi, zaklął po żołniersku i gdy się te otworzyły wreszcie, wepchnął w nie kobietę.

Gospodarz zbladły stał w progu.

— Odpowiesz mi za nią głową twoją, zawołał kapral, zdaję ci ją, to jedna z naczelnic petrolez; porucznik kazał mi ci ją pod straż oddać. Naznaczysz jej pokój taki, aby ani oknem skoczyć ani uciec nie mogła; daj jej co trzeba do jedzenia.

I powtórzył znowu.

— Odpowiadasz za nią głową.

Oberżysta z obawą spojrzawszy na kobietę, ze wstrętem jakimś, natychmiast ją wprowadził do dolnej izby, która miała u okna kraty.

Stało w niej łóżko, stół i parę krzeseł.

Uwięziona obejrzała się obojętnie, instynkt ludzki rzucił ją na łożo, a nim gospodarz wyszedłszy wrócił z butelką wina i chlebem, kobieta spała jak kamień.

Sen ten mógł być śmiercią, tak był cichy i głęboki.

Gospodarz z przerażeniem przyłożył ucho do jej ust, oddech zaledwie czuć było... Żyła jednak...

Nim dzień się zrobił, z placyku przed oberżą wywołano wojsko, które gdzieindziej wyciągnąć miało. Oficer wstąpił po drodze szepcząc coś gospodarzowi, któremu na rękę wrzucił parę dwudziestofrankówek. Stary Francuz głową tylko potrząsnął, zrozumiał.

Gdy około południa podniosła się przebudzona kobiéta i z podziwem znalazła żywą jeszcze, chciała natychmiast wyjść, lecz drzwi były zamknięte. Na stukanie do nich zjawił się otyły oberżysta, klnąc, że mu pokój przerywano.

Surowo i groźno obchodził się z uwięzioną.

— Siedzieć mi spokojnie! zawołał, mam wydane rozkazy, aby was nie wypuszczać.

Zburczawszy ją tak, zamknął a po chwili przyniósł śniadanie, które łając na stole postawił i odszedł.

Długo na nie patrzyła kobiéta z jakimś wstrętem i osłupieniem, instynkt pokierował jéj ręką, zaczęła jeść. Chciała umrzeć, lecz głodu znieść nie mogła.

Tak samo gderząc dał jéj obiad oberżysta, trzymając ciągle na klucz zamkniętą.

Dni kilka upłynęło. Po Paryżu zdobytym czyniono poszukiwania najtroskliwsze resztek komundów, które pędzono na sąd, na rozstrzelanie, na wygnanie zabójcze.

Zemsta była straszliwą.

Gospodarz co godzina się musiał spodziewać, że mu tę kobiétę zabiorą, nikt nie przychodził po nią. Milcząca ta, groźna, ponura, dumna winowajczyni, samém nieustraszoném męstwem zjednała sobie sympatyą Francuza. Starał się z niéj wyleczyć przypominając, że była petrolezą wściekłą, nie pomagało to, czuł litość nad nieszczęśliwą.

Zmusiły ją prawie sługi, aby poszarpane zmieniła suknie, a gospodyni przysłała jéj swoje. Biernie posłuszna kobiéta dawała z sobą robić co chcieli. Sie-

działa po całych dniach u okna, patrząc oczami wygorzałemi w ulicę, zawsze niema.

Lecz zwolna w tém więzieniu ostygła gorączka, serce chłódło a może i chęć do życia wracała.

Jednego wieczora zjawił się oficer, który ją sobie przypomniał. Miała twarz, którą zapomnieć trudno...

Zapytał gospodarza co się z nią działo.

— Siedzi milcząca i jak trup blada, odparł ramionami dźwigając oberżysta, trzech słów nie odezwała się do mnie.

Otworzono izdebkę, młody porucznik wszedł, nie wstała zobaczywszy go. Siadł przy niej na krzeselku, długo w milczeniu wpatrując się w jej twarz jeszcze piękną, a teraz rozpaczą i zwątpieniem dziwnie upoetyzowaną.

— Przyszedłem pani dopomódz, abyś się ocaliła, rzekł oficer. Miałaś czas ochłodnąć, musiałaś kogoś utracić w téj nieszczęsnej walce... Teraz gdy pierwszy ból przeminął, gdy wróciła ochota do życia, powiedz pani, co dla niej uczynić mogę.

— Wy? dla mnie? odparła kobiéta. Ja nie żądam nic, ani nawet życia. Sądzicie, że darowując mi je zrobiliście łaskę? Nie, tylko przeznaczeniem mojem, ażebym umrzeć nie mogła nigdy, gdy tego najwięcej pragnę. Ale cóż zrobię z tym waszym darem? dodała bolesnie i szydersko. Ja już nie wierzę w nic, na świecie nie mam nikogo?

— Możecie wrócić do waszego kraju?

— Ja!! rozśmiała się, nigdy! Prawda, odjęliście mi ochotę śmierci, ale nie dali pragnienia życia. Cóż dalej?

Oficer, którego wyrazy jęj coraz więcej poruszały, przekonywając się, że kobięta do innego musiała należęć świata, niż sądził w początku, tęm się stał litościwszym.

— Powiędz mi pani co dla nięj uczynić mogę?

— Ja nie wiem sama, odpowiedziała obojętnie.

— Kogoś przecie mieć musisz tu w mieście?

— Żywęj duszy; jedyny człowiek, który mi nie był obcy, poszedł do komuny i dał się zabić za nią. Tam, w rogu uliczki... widziałam trupa jego...

Spojrzała w okno.

— Nie mógł szczęśliwięj skończyć, dodała, ale ja?

Porucznik był zakłopotany; kobięta bystro nań spojrzała.

— Oddaj mnie do Wersalu, tam ja sobie kulę uproszę...

— Nie, to nie może być, zawołał wojskowy. Okryj się pani częm i idź ze mną, znajdę dla nięj schronienie. Potrzeba żyć.

Posłuszna, z obojętnością jakąś dała się przyodziać kobięta, z pomocą oberżystki, która dośę chętnie usłużyła jęj kapeluszem i okryciem. Oficer podał jęj rękę, wyszli.

Wieczorem nasza nieznajoma, w której czytelnik łatwo się domyslił Zoni, znalazła się w małym kółku kobiecęm, któremu poleconą została przez porucznika.

Z pewną trwogą, ale litością razem patrzyły na nią te panie i dzieci. Siedziała ciągle martwa i milcząca, posłuszna i obojętna, dając z sobą robić co chciano.

Trzeciego dnia oswoiły się z nią pierwsze dziewczątka domowe. Chodziły one koło niej długo nim się przystąpić ośmieliły, jedna z nich sparła na kolanach, patrząc w oczy, druga z boku przyglądała. Od cichego szczebiotania zaczęła się znajomość, przez te dzieci pojednała się z życiem znowu. Wieczorem na kolanach trzymała dziewczynkę i szeptały coś z sobą poufale. Nazajutrz zawiązała się przyjaźń wielka a Adolfinka bez swój pani kroku zrobić nie chciała.

Matka odciągała ją w początku, zostawiła potem jako pociechę biednej smutnej cndzoziemce.

Ta tylko z dziećmi obcowała, ale tak pilno chodziła koło nich, że się im i domowi stała potrzebną. W małym ogródku zastał ją porucznik biegającą z Adolfiną.

---

Kilka lat upłynęło i poszukiwania komunardów powoli ustawały, nie było szczęściem komu denuncyować biednej Zoni. Przy dzieciach nie chciała zostać, choć je kochała.

Głos wewnętrzny mówił jej czasem, któż wie czy tą trucizną, którą w sobie noszę nie zatrulabym ich młodych serc i główek...

Za pośrednictwem porucznika, który się do ocalonej przywiązywał codzien więcej, znalazła Zonia pomieszczenie, które dla siebie najstosowniejsem uznała, przy redakcyi jakiegoś dziennika.

Wielki przyznawano jej talent, bo we Francyi odwaga pisarza często zań starczy, a Zonia miała jej więcej niż drudzy. Pisała z ogniem, choć mówiła, że nie wierzyła już w nic, nawet w niewiarę, zapal ją porywał i unosił do dawnych marzeń, stawiała w ich obronie gorąco...

W tém życiu spokojniejszym, zwolna piękność i trochę świeżości wróciło. Porucznik, który często u niej spędzał wieczory, coraz więcej się nią zachwycał. Jednego wieczora oświadczył się jej z gotowością ożenienia.



Zonia popatrzała nań zdumiona i potrząsała głową.

— Allons donc! zawołała, ot tobym się wam odwdzięczyła za ocalone życie, zatruwając wasze?

Podawała mu rękę. Przyjaciółką waszą do śmierci, ale żoną? Co za myśl poruczniku! Chciałbyś mnie poprowadzić przed księdza, do ołtarza, kazać przysięgać! To się moim zasadom sprzeciwia... a potem! zobaczylibyście jakbym się wam prędko sprzykrzyła. Dziękuję, zostańmy jak jesteśmy!

O dalszych jej losach nie wiemy, ale z pewnością pisze jeszcze gorące artykuły do republikańskiego dziennika... a po obiedzie, mówią, pije czasem trochę absyntu z wodą, który bardzo lubi.

KONIEC.



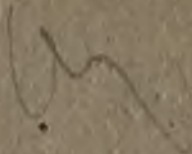
INSTITUT  
BADAŃ HISTORYCZNYCH PAN  
BIBLIOTEKA  
ul. Krakowska 72  
00-147 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 12











F

7756

A. 2